

Berges Filip

HUMOR AMERYKAŃSKI

Tłomaczył

Bolesław Londyński

I.

"Co to za szczęśliwy kraj ta Ameryka!" zawołał kiedyś z
subtelną ironją francuz
Juljusz Verne. "Zwyczajni kupcy, adwokaci czy urzędnicy
spacerują sobie po
swoich biurach i najniespodziewaniej otrzymują rangi
lejtenantów, kapitanów,
pułkowników i generałów." Rzecz dziwna, — autor "Pięciu
tygodni w balonie"
twierdzenia swego, tym razem, nie schwycił z powietrza.
Wistocie, dla zostania
oficerem licznych pułków milicyi Stanów Zjednoczonych,
dosyć jest posiadać
pewien wpływ polityczny lub też niejaki znajomości w
korpusie oficerów,
niekiedy wystarcza urządzenie hucznego przyjęcia dla
oficerów lub członków
danego oddziału milicyi, ażeby osiąść stanowisko jej
kapitana. Czy nowy
komendant widział

kiedykolwiek w swoim życiu armatę, czy nabił kiedy broń
własnoręcznie, to rzecz
małej wagi.

Do rzędu takich zuchów należał "Pułkownik" Cargill,
adwokat. Ten to dżentlemen
siedział o godzinie -ej zrana w swojej kancelaryi, mieszczącej
się na dwunastem
piętrze gmachu spółkowego w Chicago, i gwizdał "Yankee-
Doodle. " Ruchomości
kancelaryjne składały się z jednego stołu i z jednego krzesła,
oraz dwóch
spluwaczek. Pułkownik siedział na krześle, podczas gdy nogi
jego, według
ulubionego zwyczaju yankesów, spoczywały przed nim na
kancie stołu. Krzesło, od
częstego bujania się na niem osoby siedzącej, trzeszczało
niemiłosiernie. Nagle,
zastukano to drzwi i wszedł jakiś mężczyzna, który, stanąwszy
o kilka kroków od
adwokata, jał się ze śmiechem rozglądać po pokoju.

— Witam, pułkowniku! — rzekł i wyciągnął doń rękę.
Zagadnięty głośno splunął, dobył z kieszeni noża i jał nim
odłupywać kawały
stołu.

— Gdy jaki dżentlemen wchodzi do mej kancelaryi — rzekł z
gniewem — to zdejmuję
zwykle kapelusz.

— Czy tak? — odparł oschle przybyły — gdy ja wchodzę do kancelarii jakiego

dżentlemana, to on zwykle zdejmuje nogi ze stołu.

— Dobrze — na to pułkownik — ale ja jestem panem w swojej kancelarii!

— Mylisz się pan — rzecze tamten skwapliwie, nie zdejmując jednak kapelusza — jeżeli pan dziś w południe nie uiścisz się z zaległego czynszu za lokal, to

przestanieś być panem tej kancelaryi, jako też swoich wspaniałych ruchomości.

— Myślałem o tem.

— No, i co pan zamierzasz uczynić?

— Jak pan widzisz, gotów jestem stół ten pociąć na drobne drzazgi. Potem przyjdzie kolej na krzesło.

— All right! — ale to nie wiele. Spluwaczki są przynajmniej z blachy, te muszą ocaleć!

— Słówko! — przerwał pułkownik — kiedy mija ostatni termin?

— Dziś w południe! — obojętnie odparł zapytany.

W tejże chwili pułkownik stanął tuż przy nim i otworzył drzwi z rozkazującym ruchem ręki.

— Jeżeli w ciągu dwóch sekund nie znajdziesz się pan za drzwiami — zawołał — to pana wyrzucę. W południe wolno będzie panu robić, co się panu spodoba, do

południa jednak ja tu panem jestem. Kto wie, co może zająć w ciągu dwóch godzin.

Przybyły cofnął się do wyjścia, na progu jednak stanął i roześmiał się.

— Od jak dawna nie miałeś pan żadnego klienta, my boy? Już pewnie od jakiego

roku. Ciekawym też bardzo, zkąd pan wytrzaśniesz w ciągu dwóch godzin

dollarów, bo tyle należy się od pana towarzystwu?

Dłużej nie mógł mówić, gdyż w tejże chwili drzwi zamknęły mu się przed nosem, a

hałas, jaki usłyszał po za niemi, kazał mu przypuszczać, że pułkownik w pasji

skoczył na spluwaczki i podeptał je obydwoma nogami.

Wistocie, pułkownik, klnąc, ile się zmieści, spastwił się nad spluwaczkami,

odciął scyzorykiem jeszcze parę drzazeg drzewa od stołu, oczyścił się i w końcu

obtarł pot z czoła. Następnie, jał na nowo gwizdać Yankee-Doodle, wciągnął przy

tem krótki, szary surdut, włożył na głowę derby, wziął posrebrzaną laskę w

jedną, dwa zaś arkusze aktowego papieru

w drugą rękę i wyszedł z kancelarji. Winda z błyskawiczną szybkością opuściła go

z dwunastego piętra do bramy głównej. Tu pomyślał przez kilka sekund i pobiegł w

kierunku wschodnim przez jedne z olbrzymich drzwi frontowych. Pułkownik Cargill,

wnosząc z powierzchowności, był tem, co się daje wyrazić
słowem "dude", "swell",
filut, zręczne nic dobrego, urwis z towarzystwa. Ubranie miał
eleganckie, ale
niezapłacone. Był wysokiego wzrostu, o ciemnych oczach i
włosach, ze starannie
pielęgnowanym wąsem. W sferach handlowych cieszył się złą
opinją; uważano go za
człowieka uczciwego i nic nie mogło go dotąd pozbawić tego
hańbiącego miana. Z
początku było mu to zupełnie obojętnem, po wypisie bowiem
z uniwersytetu, mając
lat , ożenił się bogato, posag zaś żony strwonił w ciągu lat
pięciu do
ostatniego centa. Następnie, zaczął się oglądać za pracą i
klientelą, urządził
sobie kancelarję i postanowił dojść do pieniędzy bez
przebierania w środkach.
Znajomi odstąpili go zupełnie; nikt mu nie ufał, wątpiono w
spryt jego, i
wiedział, że jeżeli nie uda mu się jaki "kawał" nadzwyczajny,
to nic go nie
postawi na nogi. Szukał okazji, ale napróżno; jeżeli się trafił

jaki "casus", to inni sprząтали mu go z przed nosa, on zaś był aż
nadto leniwy i
ciężki, ażeby zdobyć się na pierwszeństwo. I oto dobrnął do
trzydziestki, miał
troje głodnych dzieci i mnóstwo pilnych długów, a natomiast,
ani jednej

"przygody", która go uczyniła adwokatem głośnym i zadała kres jego niedoli.

Stanął na tym punkcie, z którego wybrnąć było niepodobieństwem. Cokolwiek miało wartość z jego nieruchomości, to wszystko pozostawiał, a jego mieszkanie

stanowiło obraz nędzy i rozpaczy. I jeszcze raz skupił całą energię, jaka mu się

tylko pozostała, i postanowił pochwycić w ręce pierwszy lepszy traf, choćby to

nawet być miało szczytem niedorzeczności... W kilka minut po opuszczeniu swej

kancelarii, pułkownik stanął w pałacu "Lawyers-Association" przy ul. Monroe Nr.

, gdzie codziennie zbierało się wielu z jego kolegów.

Sprawdziwszy

nieznacznym ruchem zawartość swojej drobnicy w kamizelce, zbliżył się do bufetu

i zażądał szklankę ponczu. Zanim mu go podano, jął

przeglądać dzienniki, a im

dłużej je przeglądał, tem oddech stawał mu się krótszym.

Jedno z pism

przytaczało taką wiadomość, że twarz mu zaczęła się mienić, a we

wszystkich ruchach jego znać było stan gorączkowy. Nie spojrzawszy nawet, że mu

podano napój, zaprawny gwoździkami i cynamonem, zerwał się z miejsca i krzyknął:

— "Ready!"

— Cóż tak ciekawego wyczytałeś, pułkowniku? — zapytał stojący tuż obok kolega,

— O — odparł niedbale — umarł jeden z moich przyjaciół. Znasz go: milioner

Wilson.

— Aw! — rzecze pierwszy skwapliwie — czytałeś testament? Arcydzieło! Nic mu nie można zarzucić! Ale bo też sporządzał go Biggleby, pierwszy adwokat City.

— Pierwszy? Czy podobna? — zapytał pułkownik — sądziłbym, że znaleźliby się lepsi.

— Może ty, pułkowniku — drwiąco zauważył kolega. Ale pułkownik wypróżnił szklanę, zapłacił i powoli wyszedł z sali. Z chwilą jednak, gdy się znalazł na ulicy, szalenie szybko puścił się na dworzec drogi żelaznej, kupił bilet, wpadł do wagonu i pojechał za miasto.

.....

Pan W. S. Wilson, zamożny właściciel dużego domu komisowego, siedział przy ra-

chunkach w swoim gabinecie, gdy mu wręczono następujący bilet wizytowy;

Pułkownik Washington D. Cargill,
Attorney at Law.

Interes nie cierpiący zwłoki. Pan Wilson pomyślał chwilę — nazwisko było mu

obce, kazał jednak prosić i nawet podszedł parę kroków do "pułkownika", którego następnie posadził na swoim fotelu, sam siadając na poblizkim krześle.

— Czem mogę służyć, pułkowniku? — zapytał grzecznie i spokojnie.

— Well — odparł zagadnięty: — przychodzę do pana, panie Wilson, w sprawie, która może być z wielką korzyścią zarówno dla pana, jak i dla pańskiej rodziny.

Wszak pan Madison Wilson, który umarł właśnie, był pańskim bratem?

— Tak. To jest, bratem przyrodnim.

— Wiem o tem. Nic nie szkodzi. Znasz pan zapewne treść testamentu nieboszczyka, testamentu, który został sporządzony za uprzednim porozumieniem się z rodziną, przez nie-

jakiego Biggleby, adwokata? Mam tu ze sobą gazetę, w której piszą, że ś. p.

Madison Wilson zostawił cały majątek żonie i dwóm córkom.

Majątek wynosi okragłe

, , dollarów. Zapewniam pana, że jest to jeden z najciekawszych

wypadków, jakie mi się zdarzyły w długiej praktyce adwokackiej — a musiałeś pan,

bez wątpienia, słyszeć, że jestem dość obeznany ze sprawami spadkowemi! Otóż,

przyszło mi do głowy, ażeby i tej sprawie nadać kierunek właściwy, nietylko dla

odstraszenia od podobnych kręactw tego... tego pana Biggleby, który, nawiasem mówiąc, jest sobie ledwie miernym adwokatem, ale nadto i głównie, dla przywróceniu panu, szanowny panie Wilson, święcie przypadającego mu dziedzictwa.

Pan Wilson spojrział na gościa z powątpiewaniem.

— Doprawdy, nie rozumiem, o co tu idzie? Wszystko zdaje się być w porządku: pan

Biggleby, który, jak mi mówiono, uchodzi za najpierwszego adwokata City,

sporządził na zlecenie mego brata testament, mocą którego żona i dzieci

dziedziczą po nim cały majątek.

— Co pan mówisz? — zawołał pułkownik

Cargill, zaczynając biegać wielkimi krokami po pokoju — tu wszystko w porządku?

Pan — chciałbyś się — wyrzec tego, co się panu słusznie — należy?! Mówmy

otwarcie, sir, mówmy zupełnie otwarcie. Nieboszczyk był moim przyjacielem i dla

tego — cześć jego pamięci! Dalej: nieboszczyk był pańskim bratem, ztąd — pokój

jego duszy! Ale, dobry panie, krzyczącej niesprawiedliwości, jakiej się dopuścił

względem rodziny, nie można mu nigdy darować! Jakto? Z dwunastu milionów

dollarów nie zostawić ani cząstki dla swego ukochanego brata? To przeciwne

prawu, przeciwne moralności, to woła o pomstę do nieba, to...
niegodziwe! Mówmy
otwarcie, kochany panie Wilson, mówmy zupełnie otwarcie.
Ja wiem. Pan jesteś
człowiekiem zamożnym, nie chodzi panu o jakieś parę tysięcy
dollarów, ale gdy
sprawa dotyczy milionów, wtedy przestaje się być obojętnym.
Krótko mówiąc,
oczywistość faktu nakazuje panu zwalić testament, w interesie
swoim i dzieci
swoich!
Pan Wilson zaczął poruszać nogą i gwizdać pod nosem. Kilka
milionów! Podnieciło
go to nie żartem. Wprawdzie zdrowy rozum mówił mu, że
testament był jasny i że
nikt

nie może zaprzeczyć praw spadkobiercom, t. j. żonie i córkom
nieboszczyka, do
zupełnego dziedziczenia po nim, ale pan Wilson był tylko
zwyczajnym Yankesem,
który zręczną spekulację wyżej stawiał po nad zdrowy rozum,
i wierzył, że dla
sprytnego adwokata niepodobieństwo nie istniało.

— Hm! — ozwał się po chwili: — więc pan przypuszczasz,
że testament dałby się
zwalić?

— Czy ja przypuszczam! — zawołał pułkownik: — jakto?
więc pan sądzisz, że jabym
chciał narażać moją reputację, moje dobre imię, na wypadek
przegranej?! Nie,

panie, sprawa musi się udać! W testamencie każde słowo, każdy wyraz daje się obalić. Tak jest sporządzony, jakby go krawiec pisał! I ten Biggleby chce być adwokatem! Spuść się pan tylko na mnie. Ale przytem, posłuchaj pan dalej. Pan wiesz, że brat pański chorował przez dwa lata. " Tak przynajmniej mówiono, i chcę temu wierzyć. W każdym razie, czy podobna, ażeby w ciągu tak długiego czasu nie opuszczał swego pokoju? A jednak faktem jest, że nikt inny go nie odwiedzał, jak tylko jego żona i adwokat Biggleby. Ja sam przed niespełna rokiem miałem do niego osobisty interes w sprawie pewnej

drogi żelaznej, ale mnie nie wpuszczono. Jego żona, panie, wiedząc, że jestem dobrym prawnikiem, zabroniła mi doń wstępu. Aha, sir, pan mi się przypatrujesz, zaczynasz pan miarkować, o co tu chodzi! Tak... twierdzą, że pan Madison Wilson wcale nie był tak słabym, ażeby go należało usuwać od całego świata, twierdzą dalej, że go zmuszono, zmuszono, powtarzam, do sporządzenia takiego a nie innego testamentu — bo w przeciwnym razie nie mógłby był zapomnieć o ukochanym bracie; twierdzą nakoniec, że ten Biggleby był w porozumieniu z żoną nieboszczyka i że ta kobieta...

— Masz pan rację — przerwał Wilson wzburzony — ta kobieta, sir, ta kobieta nie mogła mnie znosić. Ona była przyczyną, że od wielu lat nie miałem z bratem żadnych stosunków...

— A co, a co, aha! — nareszcie! — z tryumfem wykrzyknął Cargill. — Jesteśmy na dobrej drodze. Tak jest, panie, ta żona z adwokatem Biggleby zmusili nieszczęśliwego do wydziedziczenia brata, wbrew wszelkim prawom natury, wbrew etyce, wbrew moralności! Oto jest grunt naszego procesu. No, czy nie słusznie nazwałem to jednym z najciekawszych

zdarzeń, jakie się kiedykolwiek trafiły adwokatowi?

— Pan masz niezłą głowę, pułkowniku! Kto wie, czy by się to nie udało. A no, spróbujmy. Poradź że mi pan, i o ile właściwie mam pretendować?

— O połowę: — o sześć milionów! Odpalą nas — trudno, weźmiemy mniej! W każdym razie, należy wystąpić o sześć milionów.

Wilson wziął się za głowę obiema rękoma. Sześć milionów!! Mała posiadłość w uroczem południu, wielkości nie jednego z państewek europejskich, konie, powozy, własne koleje, własne yachty, tytuł prezydenta i tysiące innych rozkoszy doczesnych stanęło mu nagle przed oczyma. Sześć milionów!! Oddychał ciężko.

Jakże marną kwotą wydały mu się jego własne , dollarów, które szczęśliwie sobie odłożył. W końcu podniósł się i podał rękę pułkownikowi.

— Zgoda. Wdowa ma dosyć połowy. Pańskie warunki?

— Sądzę, że dasz mi pan , dollarów, w razie pomyślnego skutku naszych za-

biegów, a dollarów w każdym razie, czy się wygra, czy przegra.

Po chwili namysłu, pan Wilson przyjął warunki. W razie wygranej, traci swój majątek dotychczasowy i przelewa natomiast do kasy nowe sześć milionów. Jeżeli

jednak przegra, to straci zaledwie / część swoich oszczędności. Ha, kto nie

ryzykuje, nie ma — więc naprzód! Jest jednakże jeszcze jeden punkt do omówienia,

punkt, niezmiernej wagi- dla pana Cargilla,

— Raczysz pan łaskawie wziąć na uwagę — ozwał się po chwili — że sprawie

pańskiej wypadnie mi cały swój czas poświęcić. Wszystkie inne sprawy muszę

zarzucić lub powierzyć je kolegom. Z tego powodu poniosę znaczne straty.

Mniejsza już o nic, ale na pierwsze wydatki, niezbędne do rozpoczęcia interesu,

potrzebowałbym — —

— Ile? — zapytał Wilson spokojnie, po kupiecku.

— Nie mniej jak dolarów. Później możesz mię pan spłacać w ratach tygodniowych. Niezawodnie, będziemy się często odwiedzali wzajemnie dla wspólnych narad. Gzy pan wie gdzie, jest moja kancelarja? W gma-

chu spółki, na parterze — zajmuję trzy wielkie salony — zresztą, sam pan to sprawdzisz. W tych dniach czekam pana u siebie.

— All right!
Pan W. S. Wilson wypisał tymczasem czek na dolarów, wręczył go pułkownikowi, poczem, uściskawszy się mocno za ręce, godni panowie rozeszli się ze sobą.

.....

W kilka dni po tej rozmowie, wszystkie dzienniki stolicy stanu Illinois głosiły sławę pułkownika Cargilla. Mecenasy ten — pisano — w sposób arcydowcipny przystąpił do zwałenia testamentu Madisona Wilsona, który, na skutek prawdopodobnej zмовy adwokata Biggleby ze swoją żoną, zmuszony był podstępnie do wydziedziczenia brata. Podziwiano nadzwyczajną pomysłowość pułkownika, wyliczano jego olbrzymie zasługi wojskowe (pomimo że nigdy szabli w ręku nie trzymał), sięgnięto aż do jego

rodowodu i zanotowano, że dziad jego był znakomitym generałem (w rzeczywistości [zaś był to zwyczajny szewc z Irlandyi). Krótko mówiąc, ten dotychczas mało znany adwokat stał się bohaterem

chwili. Nie było pisma w całych Stanach Zjednoczonych, które by nie komentowało sprawy dziedzictwa milionów Wilsona, a imię Cargilla było na wszystkich ustach. Śledzono z wielkiem natężeniem dalszych kroków, jakie w tej sprawie stawiać będzie dowcipny pułkownik. Od najbogatszych przemysłowców czy handlarzy bywała z Avenue Wabasy aż do zwyczajnego wyrobnika, ciągnącego piwo we wschodniej części miasta, nie mówiono o niczem innem jak o sprytnym adwokacie. Jedni czerpali jego sławę ze szpalt "Heralda" lub "Commercial-Timesu", inni z takich pism, jak "Journal" i "News". Starzy, krocioni "brookerzy" byli oszołomieni wzmiankami swoich dzienników giełdowych.

— Look at there! — śmieli się: — to łeb, to zuch z tego Cargilla! ktoby dał wiarę, że tak młody człowiek posiada tyle zdolności! To byłby zięć, szkoda, że żonaty!. Nie mniejsze wrażenie było i wśród arystokracji pieniężnej. Adwokat otrzymywał codziennie zaproszenia na obiady, wieczerze, herbaty, od ludzi,

którzy bądź co bądź, pragnęli widzieć na swoich salonach sławnego adwokata.

Pułkownik Cargill odmawiał większości zaproszeń, motywując odmowę tem, iż był dniem i nocą zajęty i że wkrótce

wyjeżdża na wieś, ażeby nareszcie spokojnie pracować. Z otrzymanych dolarów uregulował przedewszystkiem czynsz zaległy i pospłacał drobnych wierzycieli piekarza, rzeźnika, krawca i t. d., ci zaś wychwalali go pod niebiosa. Powykupywał stopniowo wszystkie zastawione ruchomości, jak meble, dywany i klejnoty, a biedna pułkownikowa, po długiej niedoli, mogła odetchnąć nareszcie. Z zaproszeń, które mąż odrzucał, zacna obywatelka nie omieszkała sama korzystać, a ku jej wielkiej radości otworzyły się dla niej wszystkie domy, oddawien dawna zamknięte. Pułkownik przeniósł kancelarję z -go na -sze piętro, w najlepszej części gmachu. Tu posiadał trzy duże salony, za które miał płacić dolarów rocznie. W pierwszym salonie siedziało trzech pomocników, w drugim tyłuż sekretarzy; prosto z igły, jak pomocnicy, były również i eleganckie meble, wytworne dywany, prosto z igły elektryczne przyrządy do mówienia, z drutami,

przeciągniętymi aż do trzeciego salonu, gdzie — hosanna! —
siedział on sam, on,
sławny adwokat!
Tu, przed bogato rzeźbionem biurkiem

którego koronę stanowiła elegancka, oszklona biblioteka
podręczna, zajmował
miejsce pułkownik i z uśmiechem przeglądał dzienniki,
puszczając biały dymek z
półdollarowego cygara.
Nikt nie miał więcej do zawdzięczenia prasie od niego; prawie
bez zabiegów
wypadek stał się głośnym; myśl szczęśliwa została w lot
pochwyconą i z
szybkością, właściwą prasie amerykańskiej, obiegła wszystkie
dzienniki. Hm — w
istocie, potęga to olbrzymia! Ale bo też przed czujnym okiem
reporterów nic
ukryć się nie może. Postęp sprawy interesuje ich w
najdrobniejszych szczegółach.
Dziś od samego rana było ich tu ze czterdziestu pod tym czy
owym pozorem, byleby
tylko zasięgnąć języka. Oczywiście, nie przyjęto ich. O, nawet
w tej chwili
elektryczny dzwonek dochodzi do pułkownika. Pewno
reporter. Adwokat wsłuchuje
się w aparat.
— Czy to sir przy aparacie? — pytają z zewnątrz.
— Jes!
— Jest tu jakiś człowiek, zdaje się, ze wsi; czeka już od
dwóch godzin. Grozi,

że drzwi wywali, jeżeli go nie wpuszczymy do pana. Można go wpuścić?

— Niech wejdzie!

Pułkownik szybko położył gazetę pod stołem, cygaro odrzucił i zaczął gorączkowo pisać na wielkim arkuszu białego papieru. Gdy drzwi otworzono, wskazał nie oglądając się, na duży fotel, na którym, pełen szacunku i trwogi usiadł przybyły, sam zaś pisał dalej. Po upływie dziesięciu minut odetchnął głęboko, wyciągnął złoty zegarek i ozwał się z pewną niechęcią:

— Well — sir!

Gość powstał i zbliżył się do biurka.

— Czy mogę mówić?

— Owszem — odparł Pułkownik — udzieleniu panu conajwyżej -ciu minut czasu. Te wszystko, co mogę zrobić. Jak pan widzisz, jestem bardzo zajęty.

— Dobrze — na to przybyły — czytałem w gazetach o sprawie spadku po Wilsonie i przychodzę, ażeby dołączyć i swoje pretensje. Nazywam się Jenkins. Moja babka była bratową cioteczną - stryjeczną dziadka Wilsona. Nadto, przed dwudziestu laty pożyczyłem nieboszczykowi pięć dolarów... Czy to wystarcza!

Pułkownik zerwał się z miejsca.

— Czy wystarcza? Naturalnie, że wystarcza! Pan jesteś — jak się zdaje —
cioteczno-stryjecznym bratem, a raczej rodzonym stryjeczno -
ciotecznym szwagrem
pana Wilsona? Stopień pokrewieństwa jest dość nowy, ale tem
lepiej. A ta
pożyczka pięciu dolarów — o, to szczególnie bardzo, bardzo
ważny! Tylko, niestety,
ja sam osobiście, podjąć się pańskiej sprawy nie mogę, jestem
bowiem zajęty
dnem i nocą, a wierzaj mi pan, że okradam siebie, ofiarując
panu i te dziesięć
minut czasu. Pozostała nam tylko jedna minuta. Oto karta,
udasz się pan z nią do
mego przyjaciela, adwokata Bubblestona, a ten pan zastąpi
mnie w zupełności.
Ruch ręki i gość oddala się. Przez tubę do przedpokoju
uprzedza go wyraz "Sto" —
i gdy nieszczęsny spadkobierca nadchodzi, oświadczają mu,
że honorarjum za
rozmowę dziesięcio minutową wynosi dolarów, które mocno
zdziwiony, bez
ociągania się, uiszcza. Na pociechę ma dobre słówko
adwokata i udział w
miljonach!
Zaledwie dobroduszny Jenkins opuścił kancelarję, gdy już
mówi "krewniacy"
nieboszczyka Wilsona ciągną, jeden za drugim,

pozbywani w ten sam sposób i odsyłani do coraz to innego
kolegi adwokata, —
dzieje się to przez cały dzień i przez cały tydzień. Deszcz
dollarów zalewa kasę
nie tylko pułkownika, ale i tych kolegów, których łaskawie
zasila filut
klientelą. Jego hasłem jest teraz: "ręka rękę myje"! — hasło
bardzo skuteczne,
wszyscy bowiem obdarzani koledzy sławią go dokoła.
Dobroduszny Jenkins, wyszedłszy od pułkownika lżejszym o
dollarów, obracał w
palcach nie bez namysłu kartę do adwokata Bubblestona;
teraz, kiedy już tyle
stracił na rzecz spadku, musi brnąć do końca, Wziął powóz i
pojechał do
kancelaryi pana Bubblestona. Tu zmuszony był znowu czekać
pół godziny — adwokat
bowiem był zajęty. W rzeczywistości zaś, Bubblestone z
jednym ze znajomych
zgrywał się w "Head and Tail", — gra, w którą równie chętnie
zabawia się krezus
jak i ulicznik, pierwszy, grając na dollary, drugi na centy.
(Bubblestone grał
na centy).
Gierkę tę znamy równie dobrze, jak Yankesi: — orzeł czy
litery, "Head" czy
"Tail" — oto cała istota zabawy.
Niewinnie tedy bawił się adwokat Bub-

blestone, gdy mu oznajmiono przybycie klienta. Klienta! Był
to wypadek

niesłychany! Pograł jeszcze trochę, poustawiał krzesła i stoły, pożegnał znajomego i przybrał pozę. Wtedy wszedł Jenkins, podał mu kartę pułkownika i usiadł.

— Aha! — rzecze M-r Bubblestone — mój szanowny kolega pisze, że pan jesteście cioteczno-stryjecznym bratem nieboszczyka?

— Tak, panie. Jego dziadek był szwagrem mojej babki, czy przeciwnie, napewno nie wiem.

— To nic nie szkodzi; bądź co bądź, stopień powinowactwa jej dość blizki, ażeby nie wątpić o skutku pańskich pretensyj. Ile pan żąda?

— Miljon dolarów; zdaje się, że to nie zawiele, nieprawdaż — zapytał pocziwy Jenkins z niepokojem.

— Wcale nie zawiele. A czy więcej nie masz. pan jakich danych?...

— Owszem, przed -laty pożyczyłem był zmarłemu dolarów...

— Których naturalnie nie zwrócił panu?

— Przeciwnie! Oddał mi później je z nadpłatą %. Sądzę jednak, że za taką przysługę

mógł być być o wiele wdzięczniejszym. Przyrzekł mi nawet, że nie zapomni o mnie w testamencie.

— Tak — tak — tak! Nie zapomni! To dobrze, to bardzo dobrze! Ma pan świadków?

— Mojego syna! Pan Wilson, przez wdzięczność za ową pożyczkę, przybrał go do siebie z pensją dollarów rocznie.

— I gdzież jest teraz syn pański?

— Jest — hm — teraz! Jest... widzi pan... on teraz siedzi w więzieniu.

— Ach! W więzieniu? I za co? Muszę o tem wiedzieć!

— Coś tam takiego zbroił z kasą pana Wilsona. Młody, lekkomyślny, pan to rozumie. Brakowało dollarów. Ale syn mój nic de był winien — padł ofiarą podstępu.

— Możliwe, bardzo możliwe. Syn takiego ojca nie może być złodziejem, choćby zabrał cały miljon.

Pan Jenkins gorąco uścisnął rękę adwokata.

— I sądzisz pan, że mamy widoki?...

— Proszę pana — odparł Bubblestone — pański miljon jest tak pewny, jakbyś go pan miał w kieszeni. Niestety jednak, ja sam nie

mogę podjąć się tej sprawy, jestem zanadto zajęty, dniem i nocą, wierzaj mi pan, dniem i nocą. Polecam jednak panu adwokata Iksleya, mego przyjaciela, który będzie panu służył najniezawodniej.

Gest — i wyjście gościa. W przedpokoju oznajmiono mu, że rozmowa kosztuje

dollarów, które też nie bez zdziwienia uiścił. Trudno, trzeba brnąć, to nic nie

pomoże. Udał się tedy do trzeciego adwokata, który nareszcie, po wielu

entuzjastycznych zapewnieniach, podjął się sprawy i kazał zostawić przyzwoitą zaliczkę w gotowiźnie. Najbliższy z "krewniaków" Wilsona, odsyłanych kolegom przez pułkownika, pozyskał sobie obrońcę w adwokacie Bubblestonie, który sam zaczął wierzyć w spryt Cargilla. Wszyscy inni, po opłaceniu dolarów za rozmowę, odsyłani byli dalej dopóty, dopóki mniej lub więcej wyczerpani z zasobów, nie znaleźli nareszcie adwokata, który nic jeszcze nie skorzystał w tej sprawie i dla tego chętnie się jej podejmował. Wszyscy ci adwokaci, w krótkim przeciągu czasu, przeistoczyli się do niepoznania; ich małe, szczupłe pokoiki zostały zamienione na obszerne salony, w których klienci

za -cio minutową pogadankę zmuszeni byli płacić po dolarów. Ktokolwiek przyjmował udział w sprawie testamentu Wilsona, uchodził za znakomitość. Na pułkownika zlewały się nietylko dollary tłoczących się klientów w najrozmaitszych sprawach, nietylko zaproszenia od ludzi wpływowych i zamożnych, ale nadto listy dziękczynne i pełne chwalby ze strony licznych kolegów. Jedynie M-r Biggleby, pełnomocnik wdowy po zmarłym milionerze, żywił śmiertelną

nienawiść dla pułkownika. I z tego powodu nakazał dwóm agentom śledzić go bez spuszczenia z oka. Bo chociaż dziadek pułkownika był wielkim generałem, a on sam dzielnym żołnierzem, to jednak bał się, ażeby pan Biggleby, pewnego pięknego poranku, nie wpadł, przystępie furji, do jego kancelaryi z rewolwerem i ażeby w ten sposób nie dopomniął się prawa wdowy.

.....

Rok minął. Dzięki owym "tricksom" i "sztuczkom", w których celują adwokaci amerykańscy, zadając prztyczka w nos sprawiedliwości miejscowej, sprawa główna dotąd nie

weszła na wokandę sądową. Nareszcie jednak wyznaczono termin, jakkolwiek wyrok nie zapadł" pretensje bowiem licznych spadkobierców należało odpowiednio zgrupować. W tym celu, zgodnie z wolą sądu, trzeba było wybrać t. zw. "receivera", t. j. zastępcę, który, płatny od masy występując od imienia zbiorowego, objąłby zarząd majątku nieboszczyka równocześnie z plenipotentem dziedziców testamentowych, i któryby sam, obrawszy sobie grono prawników, przygotował wraz z nimi odpowiedni projekt działów, dla przedstawienia ich

sądowi. Na to tylko czekał pułkownik. Była to właściwie
okazyja, ażeby zjednać
sobie ostatniego wroga, mianowicie pana adwokata Biggleby.
-ciu adwokatów z pułkownikiem na czole wytoczyło proces o
zwalenie testamentu
Wilsona. rodzin marzyło conajmniej o jednym miljonie ze
spadku i stale
opłacało adwokatom znaczne sumy; były tylko nic z szans
swoich nie stracić.
Owóż, gdy na pierwszym posiedzeniu sądu pretensyj ich nie
oddalono, lecz.
zadecydowano wybranie pełnomocnika do działów, wszyscy
pretendenci byli
przekonani o wygranej i zaczęli żyć nad stan, trwoniąc resztki
majątku.

Jakież było zdziwienie powszechne, gdy za podszeptem
pułkownika Cargilla,
pełnomocnikiem masy obrany został młodzieniec -u letni,
który przed czterema
ledwie tygodniami opuścił "kollegium" i otworzył kancelaryj
adwokacką;
młodzieniec przy tem, który przez wzgląd na stosunki
rodzinne, przedstawiał
najgorsze widoki wygranej dla masy. Jakkolwiek jednak
żaden z klientów nie
pochwalał wyboru, radzi nie radzi, musieli się pogodzić z
faktem dokonany,
wierząc w Cargilla, jak w wyrocznie.
W dzień wyborów, około godziny -ciej po południu, ocierając
pot z czoła i kurz

z rękawów, wybiegł z sali sądu pewien człowiek, śpieszący wprost do kancelaryi pułkownika Cargilla. Zanim wszedł, uprzedziło go dwóch ludzi, którzy, zawoławszy do środka: "M-r Biggleby idzie tutaj"!, zatarasowali mu drogę. Byli to owi dwaj agenci w służbie pułkownika. Ten jednak uspokoił ich uśmiechem, kazał im odejść ode drzwi i czekać, a w sekundę później, gdy mu zameldowano wizytę pana Biggleby, najpierwszego adwokata City, wydał szybki rozkaz, ażeby go wpuścić bez najmniejszej zwłoki.

Drzwi otworzono i zameldowany stanął na progu. Był to piękny mężczyzna wysokiego wzrostu, lat -ciu, o nader miłej i pociągającej twarzy. Przez chwilę stał przy drzwiach i spoglądał na swego wroga, wkrótce jednak wyciągnął doń ręce, podszedł kilka kroków, pułkownik przyskoczył — i obaj panowie padli sobie w objęcia. Po tem milczącym powitaniu, pułkownik pociągnął gościa na fotel, sam zaś usiadł przy nim. — Jak widzę — rzekł zwolna — przeczucia mnie nie zawiodły. Przybyły schylił głowę, pełen podziwu. — Pułkowniku — odparł — jesteś najzręczniejszym z figlarzy w całych Stanach Zjednoczonych. Nie chciałem własnym uszom wierzyć, gdy mi dano znać, że pan i

pańska horda zamierzacie forytować mojego syna na
pełnomocnika masy i rządcę
miljonów. Wracam jednak z sądu — w istocie, syn mój został
wybrany. Pułkowniku,
nie mam dość słów podziwu dla pańskiej głowy.
— Szanowny kolega jesteś zbyt łaskaw, — zauważył sprytny
pułkownik; — wybór ten

miał tylko jeden cel z niej strony, cel, ażeby z najgorszego
wroga zrobić sobie
przyjaciela.
— I to ci się udało, najdroższy pułkowniku! — zawołał M-r
Biggleby, ściskając
go za rękę. — Mój syn, zaledwie opuścił uniwersytet, a już
zajął takie
stanowisko, już został pełnomocnikiem w sprawie
miljonowego dziedzictwa? To
rzecz wyjątkowa, to się nigdy jeszcze nie zdarzyło! Ja bym
sam nie pomyślał o
czemś podobnym — a pan to uczyniłeś i przy pomocy swoich
-ciu głosów
doprowadziłeś do skutku! Syn mój ma teraz świetną karierę
przed sobą! Jego
nazwisko będzie głośnie w całym kraju!... Powiedz mi jednak,
pułkowniku, czy nie
pomyślałeś o tem, że, pomimo trąb i kotłów, wybór ten nogę
wam podstawia i że
najniezawodniej przepadniecie? Pod moim kierunkiem nowy
rządca odrzuci wszelkie
pretensje!
Pułkownik Cargill roześmiał się serdecznie.

— I on i każdy inny! — zawołał: — testament, tak sporządzony, jak pan go sporządziłeś, kochany panie Biggleby, jest bez zarzutu, i nawet najbardziej prawne żądania nie mogą mu żadną miarą podołać. A wszystkie nasze

pretensje są wręcz bezzasadne. Większości powinowactwa nawet dowieść trudno!

— Oh... oh... oh! — pan Biggleby aż podskoczył. Cargill zaczął pogwizdywać "Yankee — Doodle".

— Zrozumiałeś pan teraz? — zapytał w końcu.

— Pojmuję, wszystko pojmuję! — odparł M-r Biggleby, z wybuchem nowych "O, ach i oh" i coraz szybszem kręceniem głowy. — Szło o to tylko, ażebyście pan i pańscy wspólnicy zrobili przy tej okazji nie małe mająteczki.

— You bet! — roześmiał się szyderczo pułkownik: — nie na tem jednak koniec.

Posłuchaj pan, jakie mam plany na przyszłość. Sprawę należy przewlekać jeszcze

przynajmniej rok czasu, ażeby syn pański mógł otrzymać za zarząd majątku Wilsona

okrągłą sumkę, a sędzę, że mu wypadnie około dollarów. Co się zaś tyczy

testamentu, to, jak mówiłem, niczyje pretensje uwzględnione być nie mogą,

większość ich bowiem jest poprostu śmieszną i niedorzeczną, o czem wiedziałem,

za nim jeszcze przystąpiłem do sprawy. Tej jednak przygody

potrzeba mi było, ażeby wypłynąć na wierzch, i wam,
szanowny kolego, szczęście
swoje zawdzięczam.

— bynajmniej! — zaprzeczył Biggleby: — ja daleko więcej
jestem obowiązany
panu. Przez swój dowcip zdołałeś wprowadzić syna mego w
świat, dałeś mu pieniądze
do ręki i zrobiłeś go jednym z popularniejszych obrońców.

— Nie mówmy o tem i bądźmy przyjaciółmi! — zakończył
pułkownik, poczem obaj
prawnicy uściskali się i rozeszli.

.....

Znowu rok minął, zanim sprawa testamentu Madisona
Wilsona weszła na wokandę
sądu. Stało się tak, jak przewidzieli obaj sławni adwokaci.
Rozpatrywanie
pretensyj, trwające rok przeszło, skończyło się na zupełnem
odrzuconiu
wszystkich -ciu kandydatów do spadku, ku wielkiej chlubie
młodego Biggleby,
który oprócz swoich dollarów, otrzymał nadto bardzo hojne
podziękowanie od
strony wygrywającej. Jego kancelarja stała się odtąd tłumnie
nawiedzaną przez
tysiące klientów w sprawach spadkowych, oddalenie bowiem
całej masy pretendentów
do spadku po Wilsonie,

świadczyło, ich zdaniem, o niepospolitych zdolnościach
młodego prawnika.
Pułkownik Cargill wiedział jednak najlepiej, co ma o tem
sądzić. Przed
ogłoszeniem wyroku, zabrał rodzinę i popłynął do Paryża na
całe lato. Dla tego
też, naciągnięty przezeń M-r W. S. Wilson, brat przyrodni
nieboszczyka, nie
zastał adwokata i w strasznej pasyi musiał, rad nie rad,
powrócić do domu.
Zubożał on o wiele tysięcy dollarów, a dla powetowania,
wyrzekł się koni,
powozu, francuskiego kucharza i łoży w teatrze. Nie lepiej
urządził się M-r
Jenkins, cioteczno-stryjeczny szwagier nieboszczyka.
Pocziwiec zmuszony był
sprzedać swój folwarczek i wyjechać na daleki wschód dla
zapomnienia o swej
niedoli. To byli najbliżsi krewni. Pozostali kandydaci robili
awantury, koniec
końcem jednak musieli się pogodzić z faktem dokonanym.
Niektóre dzienniki podziwiały odwagę pułkownika Cargilla,
że się podjął tak
niepewnej sprawy, ale powstrzymały się od wszelkich napaści
na potężnego i
sławnego adwokata. Jeden jedyny mały dzienniczek "The
Illinois Observer" wyraził
się w te słowa: "jest to nic innego, jak rozbój solidarny", a
prawodawstwo

powinno by wejrzeć nareszcie w te miłe stosunki, panujące w tych sferach naszej palestry". Tak otwarte wystąpienie przyprawiło go jednak o stratę abonentów.

Bądź jak bądź, wszystkie pisma cieszyły się jednozgodnie, że wdowa i dzieci

testatora weszły nareszcie w posiadanie prawnie przypadającego im dziedzictwa.

Pułkownik Cargill mieszka obecnie w pałacu własnym przy avenue Indiana; jego

"LawOffice" zajmuje sal, -ciu pomocników i kandydatów, umieścił się w

najlepszej części: "Statestreet". Jest on kilkakrotnym milionerem, piastuje

najwyższe godności honorowe, a tem samem jest najmilej widzianym gościem w

najpierwszych domach — nawet w domu wdowy po nieboszczyku Wilsonie, nadewszystko

zaś u swego serdecznego druha, pana Biggleby.

Jedna z córek pułkownika wyszła za młodego Biggleby, który tymczasem został

lejtenantem, idąc po szczeblach kariery śladem swego sławnego teścia.

MIŁE SZCZEPY.

Czcigodny M-r Hyde, pastor parafii dwudziestu wiernych,
przechadza się po swej
izdebce. Wzdycha trochę, pociąga raz po raz "brandy" i
przygotowuje się do
zgaszenia światła. Jest już północ.
W tej chwili, zastukano do drzwi.
M-r HYDE: Co to jest u licha? Zdaje mi się, że ktoś stuka.
Cicho... ! Istotnie,
ktoś stuka. Ach, gdybyż to jacy kandydaci do stanu
małżeńskiego — wcale bym się
nie gniewał, bo kasa pusta. dusz, z kogo tu żyć? Słuchajmy!
Stukają coraz
głośniej! Skoro ktoś przychodzi wśród tak ciemnej nocy, to
sprawę ma niezbyt
czystą i przy pewnej zręczności możnaby się pożywić... Ha,
zobaczmy! (Wychodzi,

otwiera drzwi i powraca z panem Hawkinsem, który prowadzi
szczelnie

zawoalowaną damę).

M-r HAWKINS (młodzieniec -to letni): Jak zdrowie waszej
wielebności?

M-r HYDE. Bóg zapłać, trzymam się. A jakże twoje zdrowie,
mój synu, i co cię
sprowadza o tak późnej porze do mojego domu?

M-r HAWKINS. Panie pastorze, czy pan znasz mnie albo tę
panią?

M-r HYDE. Pana" nigdy nie widziałem, a co się tyczy tej
pani, to nie mogę jej

poznać dla tego, że jest zanadto osłonięta.

M-r HAWKINS (kładąc dollarów na stole). Chciałbym zaślubić tę panią.

M-r HYDE milczy i namyśla się.

M-r HAWKINS (zmienia banknot poprzedni na dollarów).
Bez pytania o imię i
nazwisko... bez...

Mr. HYDE. Młodzińcze, jestem sługą kościoła...

Mr. HAWKINS. Te pieniądze ofiaruję na biednych z parafji
Waszej wielbności.

Koszta ślubne zapłacę po ukończeniu ceremonii.

Mr. HYDE. Tak, to co innego — niebu cię polecam, drogi
synu. Ofiara na
biednych

mojej parafii? (Do siebie: W mojej parafii jedynym biedakiem
jestem ja, z

pozostałych -tu — wszyscy są bogaci). — Dostaną, dostaną
niezawodnie. A no

więc, kochane dziatki, przystąpmy do aktu świętego.

Mr. HAWKINS. Połączysz nas pan tedy bez żadnych zapytań.
Nazwiska sami wypiszemy

w akcie ślubnym. Zgadzasz się pan na to?

Mr. HYDE. (Chowając banknot). Któż by się oparł takiej
uprzejmości? Jakże jednak

będzie ze świadkami? Świadkowie są niezbędni. Nie macie
państwo nikogo? No, no,

damy sobie radę. Chwileczkę cierpliwości! (Idzie do drzwi i
woła: "Carrie!

Mamie!" Po jakimś czasie zjawiają się dwie kobiety w
bieli, żona i służąca

pastora, i milcząc, stają w pokoju). No! świadkowie są, dokumenty w porządku, teraz, proszę się wziąć za rękę. Tak, dobrze. Młodzińcze, pytam, czy masz dobrą i nieprzymuszoną wolę poślubić tę oto niewiastę, kochać ją, szanować i poważać, być jej wiernym i spełniać względem niej te wszystkie obowiązki, których wymaga Bóg Najwyższy i prawo naszego kraju?
Mr. HAWKINS. Tak.

Mr. HYDE. A ty, moje dziecko, czy chcesz mieć tego młodego człowieka za męża i spełniać to wszystko, czego wymaga od ciebie ten dokument, któryś odczytała przed chwilą?

DAMA. Tak!

Mr. HYDE. Odmówcież teraz przysięgę... Dobrze! Otóż świadkowie podpisali, teraz potrzebne są tylko podpisy państwa. Proszę podpisać, tylko wyraźnie.

Mr. HAWKINS pisze:

Mr. HYDE (czytając) Haw — kins... Ach! Syn wielmożnego... ulica -ta... pst! All

right... sic! Nic więcej nie powiem. Teraz panią proszę o podpis! Hm, ładny

charakter pisma. Brid — get... Mac... Cormack...

Mr. HAWKINS (z okrzykiem): Bridget!! Bridget Mc. Cormack?! Czy pan oszalał? To

Mary Dison! Mary — dlaczego nie podpisałaś swego własnego nazwiska?

BRIDGET (odsłaniając woal): Przyjrzyj mi się, nędzny zdrajco, i wiedz, że jesteś moim mężem. Czy się nazywam Bridged Mc. Cormack, czy Mary Dixon — jestem teraz panią Hawkins, twoją żoną!

Mr. HAWKINS. Na litość Boską, panie pastorze, trzeba zerwać ten związek!

Mr. HYDE. Zapóźno!

Mr. HAWKINS. Pan musisz to uczynić! Jestem zdradzony, oszukany, sromotnie oszukany. To małżeństwo nie ma, nie może mieć żadnego znaczenia — ja się rzucę do wody, ja -się powieszę, ja się, zastrzelę — więcej powiem, dam dollarów, ażeby ten kontrakt zniweczyć natychmiast!

Mr. HYDE. Wstrzymaj się, szalony młodzieńcze! Mnie, sługę kościoła, chcesz pieniędzmi przekupić?! Ha! precz mi z oczu, szatanie! (Żona pastora podnosi się z krzesła i wychodzi w milczeniu: za nią idzie służąca).

BRIDGET (zicha do M-ra Hyde). Niech wasza wielebność przemówi do niego.

Mr. HAWKINS upadł na krzesło z wyrazem obłędu w oczach.

Mr. HYDE. Wysłuchaj mnie, młodzieńcze. Nie pragnę wcale poznawać waszej tajemnicy. Obowiązkiem moim jest jednak poradzić ci z całego serca: odejdz w spokoju i weź tę kobietę" ze sobą. Jest to bowiem twoja legalna małżonka,

zarówno przed Bogiem, jak i w obliczu prawa świeckiego. Nie myśl,

ażeby ten związek dal się zerwać dla tych czy owych względów. Jeśli cię oszukam, to udaj się do sądu, a jeżeli będziesz miał rację, to was sąd rozdzieli. Aż

dotąd jednak ta kobieta jest twoją żoną prawną. A teraz odejdźcie ztąd —

jestem zmęczony i muszę wypocząć.

Mr. HAWKINS. Miłosierdzia! Chwilkę jeszcze! Bridget, wszystkiego żądaj, ale nie

pragnij nazywać mnie swoim mężem!

BRIDGET. Wymagam, ażebyś spełnił te wszystkie obowiązki, jakie się należą twojej żonie — nic więcej!

Mr. HAWKINS. Ależ kobieto, zastanów się, to niepodobna. Toż mnie

wydziedziczą, zniszczą.

BRIDGET. Tem lepiej. Wtedy weźmiesz się do pracy i będziesz w zupełności do mnie

należał. Tak mój ukochany! Rozumiesz, o co mi chodzi?

Mr. HAWKINS. Wydziedziczony!

BRIDGET. Owszem, niech sobie twój ojciec ciuła miliony, jak dotąd, ja chcę tylko

ciebie samego, ja kocham ciebie — dla tego tylko zgodziłam się na ten krok

stanowczy. Zemną będziesz szczęśliwy. Czy mnie już nie kochasz?...

Mr. HAWKINS. Bridget — ja nie mogę! Mój ojciec, moja rodzina, moje stanowisko — znajomi moi... Ach! Nie, nie, ja nie mogę cię kochać.

BRIDGET. A czy mi nie przysięgałeś po tysiąc razy, że zwalczysz wszystkie przeszkody, ażeby mnie tylko żoną swoją uczynić? Czyś mnie nie zmusił, mnie, - toletnią, ażebym kochała ciebie i tylko ciebie jednego? A, więc oszukiwałeś mnie...

Mr. HAWKINS (gwałtownie). Nie, tyś mnie oszukała. Ja nie ciebie zaślubiłem, to oszustwo, ty nie jesteś moją żoną.

BRIDGET. Nie jestem? Może kochany pan raczysz spojrzeć na ten dokument, a przekonasz się z niego, że nikt inny, jak tylko Mrs. Bridget Hawkins, z domu Mc. Cormack, jest jego małżonką.

Mr. HYDE. No, kończcie, dzieci, albo kłóćcie się za drzwiami. Dla tak niepocziwych ludzi, którzy się już zaczynają kłócić w pierwszej chwili po ślubie, wogóle nie ma miejsca pod moim dachem.

Mr. HAWKINS. Dobrze, odchodzę. A pani, panno Bridget, radzę zachowywać się spo-

kojnie, bo inaczej będę wiedział, jak sobie postąpić.

BRIDGET. Na dziś — idę do domu. Jutro jednak upomnę się o swoje prawa. Dobrej

nocy, mój mężu.

Mr. HYDE. Proszę pani, oto kontrakt podpisany. Weź go pani do siebie, a gdybyś

go zgubiła, to nie zapomnij, że z przyjemnością, wydam pani kopję. No, dobranoc,

życzę państwu wszelkich pomyślności.

Młoda para oddała się. Pastor wraca, pociąga parę łyków

"Brandy", chowa swoje

dollarów i gasi świecę. Godzina druga bije.

.....

Wnętrze wagonu drogi żelaznej. Noc. Latarnie rzucają słabe światło na długi

wagon, dość gęsto wypełniony przez śpiących panów i panie.

W ostatnim przedziale

siedzą trzy osoby: Miss Mary Dixon, ładna blondyna z

żywymi oczkami i Mr. Artur

Busoni, wysoki młodzian o profilu ostrym i wyrazistym;

nadto, jakiś śpiący

pasażer, który siedzi naprzeciwko młodej pary.

ARTUR (pieszczotliwie). Już dziesięć minut drogi, a jeszcze żadnego całusa — to

rozpacz człowieka bierze.

MARY. Cichoż bądź, ty nienasycony! Jeszcze nas kto podpatrzy.

ARTUR. Nie rozumiem ani słowa, mów głośniej. Huk wagonu zagłusza każdy wyraz.

Poczekaj chwilkę, zaraz będzie tunel, koła przestaną warczeć tak niemiłosiernie.

Aha — wyjeżdżamy za miasto — jesteśmy w polu. I cóż?

MARY. Ten pan naprzeciwko. Mógłby nas podpatrzeć, usłyszeć.

ARTUR. Cóż znowu! Śpi jak kret, a więcej nikt nas nie widzi.

MARY. Nie, nie. Może nie śpi twardo.

ARTUR. Zapewniam cię, że śpi. Uważaj tylko. (Porusza śpiącego). Halloh!

Gentleman! Halloh! halloh!

OBCY (śpiąc) What ist the matter? Czy pociąg się wykoleił?

ARTUR, AH right, sir! Wszystko w porządku. Chrapałeś pan mocno. Śpij pan dalej.

Obcy przykrywa sobie twarz białą chustką i śpi znowu.

ARTUR. No, czy jesteś zadowolniona? A teraz, uściskaj mnie i... i opowiadaj!

Opowiedz, drogi skarbie, jak się to tak prędko wszystko stało?

Umieram z ciekawości?

MARY. Słuchaj więc. Zanim napisałam list do ciebie, byłam wielce wzburzona.

Chciano mnie zmusić do zaślubienia tego wiercipięty, tego

Hawkinsa. Oparłam się

stanowczo, naturalnie ani słoweczkiem nie wspominając o tobie. O mało mnie nie

zabili. Wyobraź sobie, pewnego popołudnia, siedzę sobie sama w saloniku, gdy

wtem widzę przez okno, że ulicą idzie mój ojciec w towarzystwie pana Hawkinsa

senior. Zanim weszli, uciekłam do drugiego pokoju,

pozostawiając drzwi nieco

uchylone i w ten sposób nie straciłam ani jednego słówka z ich rozmowy.

— Ona go nie kocha, — mówił mój ojciec, — i jakkolwiek bardzo pragnąłbym spokrewnić się z pańską rodziną, nie mogę jednak córki przymuszać.

— Kiedy, bo widzi kochany pan — odparł stary Hawkins — córka pańska zadaje się podobno z jakimś aktorem ze Star-Teatru, i cóż byś pan powiedział, gdyby chciała wyjść za takiego nicponia?

ARTUR. Bardzo obowiązany!

MARY. — To niema sensu — zaprotestował mój ojciec — czysta potwarz, nic więcej.

A choćby nawet zajęła się tym artystą, to wie prze-

cie, jak się ma zachować względem nas i siebie samej.

Przelotne namiętności nie mają zwykle żadnych następstw, oprócz jakichś bukietów i bilecików miłosnych.

Ażeby myśleć o jakimś związku z aktorem, na to Mery jest za rozsądną! Ha, ha,

ha! Rzeczywista królowa i król z kart! Księżniczka i żebrak!

ARTUR. Coraz lepiej! Dziękuję za komplement,

MARY. (Żartobliwie). Przecież i mnie zrobiłeś żebraczką.

Wszystkie skarby mojego

ojca oddam za jedno twoje spojrzenie, za jeden twój

pocałunek — o mój

najdroższy!

ARTUR. Przytul że się do mnie, o tak, aniele drogi! — Zaraz, zaraz stacja

Flatbush! Stoimy tu minut, Wiesz co, zejdźmy i napijmy się herbaty — jest

dosyć chłodno.

(Pociąg staje, Artur i Mary wychodzą. Obcy zrzuca chustkę i patrzy za nimi ze śmiechem. Następnie, wyjmując notes z kieszeni, kładzie go przy sobie, bierze ołówek i przykrywa nim notes. Teraz przybiera znowu dawną pozycję. Artur i Mary wracają, drzwi się zatrzaszczają i pociąg rusza).

ARTUR. Nasz podróżny śpi bez zmiany.

MARY. Tem lepiej! Słuchaj więc, opo-

wiem ci dalej. Stary Hawkins umiał jednak przekonać papę. Powiedział mi, że ma środek, którym złamię mój upór. Środek ten miał polegać na tym: syn jego miał mi donieść, że rodzice surowo mu zabronili starać się o mnie i że dla tego postanowił mnie wykraść. Obaj ojcowie będą przezeń zawiadomieni o wszystkim, ja jedna tylko mam przypuszczać, że niby nie wiem o naszejzmowie. — Podziwiałam przebiegłość starego Hawkinsa. Ach, porwanie ma przecież dużo uroku — wiedział, że takiej pokusie nie będę mogła się oprzeć.

ARTUR. (Przyciskając ją do swych piersi). O luba dziecińco, jakżem ci wdzięczny za to!

MARY. Od czasu, jak wyszłam z "Vassar-College", już się cieszyłam na porwanie, które mój ślub poprzedzi. Gdyż bez porwania nigdybym się była nikomu nie oddała.

O, gdyby nie ty i nie moja miłość dla ciebie, młody Hawkins byłby zwyciężył...

Nigdy nie wierzyłabym, że mi się to sprawdzi, a jednak uciekam przecie, jestem

porwaną dziś, przez ciebie, najdroższy!

ARTUR. No tak — ale cóż młody Hawkins?

MARY. Przyszedł. Przyjęłam go i rozmawiałam z początku zimno, opierając się napozór jego życzeniom. Powtórzył mi to wszystko, o czym już wiedziałam.

Zabroniono mu starać się o mnie, — ma się ożenić z inną, ale on tego nie może

uczynić, on mnie jedną kocha tylko, on umrze, jeżeli nie będę należała do niego

— głupiec! — Koniec końcem, dałam się niby przekonać i przystałam na to, że będę

nazajutrz o wpół do dwunastej w nocy czekać nań przy nowej willi. Miał

przyjechać powozem, zawieść mnie do pierwszego lepszego pastora we wschodniej

dzielnicy miasta, zaślubić, a wczesnym pociągiem mieliśmy uciekać do Bostonu.

Tam mieszka jego wuj, który niezawodnie został już także uprzedzony o

"tajemnicy." Mój plan był gotów: — w umówionej godzinie postanowiłam dać się

porwać nie jemu, lecz tobie. Wierzaj mi jednak, zem się strasznie bała. Byłam

pomiędzy szczęściem i nieszczęściem. Teraz lub nigdy, ty albo on!

ARTUR, I wybrałaś mnie! O mój aniele, Jakżeś dobrze uczyniła! I jeżeli nawet twój ojciec odwróci się odemnie, od nas obojga, wtedy potrafię sztuką swoją zapracować i będziemy szczęśliwi!

MARY. Nie martw się, mój drogi, wszystko będzie dobrze. Ale słuchaj dalej — teraz rzecz najciekawsza. Zaledwie młody Hawkins wyszedł, patrzę na ziemię i spostrzegam list, który mu wypadł z kieszeni. List miłosny, uważasz? Mam go ze sobą. Posłuchaj, przeczytam ci go: "Mój najukochańszy! Tysiączne dzięki za cudne kolczyki brylantowe, które mi dziś przysłałeś. Są prześliczne. Jak się świecą, jak błyszczą, jakie ognie dają! najdroższy, kiedyż nareszcie dotrzymasz słowa i zrobisz mnie swoją żoną? Ja tak cię kocham, i tak bym rada jednej chwili wyjść z tego otoczenia, w jakim się znajduję! To nie dla raniej miejsce pośród tych ludzi, którymi brzydzę się coraz bardziej. Daruj, że cię zamęczam skargami, ale nie mogę dłużej wytrzymać, tak mi jest ciężko żyć tutaj. Twój przyjaciele, ten baron niemiecki i sekretarz poselstwa ruskiego, mówili mi, że się zareczyłeś z jedną z panien z towarzystwa. Ma to być niejaka M. D. — Widzisz, że nawet nie

zataili nazwiska jej przedemną. Ale ja im nie wierzę, tak złym być nie możesz.

Przybywaj, o przybywaj zaraz otrzeć łzy twojej biednej, małej Bridget. PS.

Adresuj prosto: Bridget Mc. Cormack, w cyrku Barnuma, Nr. .
"

ARTUR. A, to ta mała tancerka na drucie?

MARY. Znasz ją?

ARTUR, tylko ze słyszenia, tak, ze słyszenia, aniołku.

MARY (grożąc palcem). Wszyscyście warci jeden drugiego.

My tylko jesteśmy dobre

i stałe. Słuchaj tedy, com uczyniła i osądź. Zaledwie

doczytałam listu do końca,

gdy szalona myśl przyszła mi do głowy. Kazałam zaprzędz

bez najmniejszej zwłoki,

pojechałam do cyrku Barnuma i tam rozmówiłam się z

tancerką.

ARTUR, You d'ont say! Rozmówiłaś się? O czym?

MARY. Powiedziałam jej wszystko, cały nasz układ z

Hawkinsem. Ale zaraz wyznałam

jej, że go nie kocham, że niechce wyjść za niego i poprosiłam,

ażeby zechciała

mnie wyreńczyć w tej roli, jaką odegrać miałam o północy...

ARTUR. Ach, i ona przystała?

MARY. Jaknajskwapliwiej. Pożyczyłam jej mojej sukni,

mojego kapelusza,

zaleciłam

jej, ażeby się zawoalowała jaknajstaranniej i ażeby o umówionej porze czekała przy naszej willi na kochanka.

ARTUR. Ach, ależ on spostrzeże oszustwo.

MARY. Nie. Najprzód, napisałam do niego, że będę go oczekiwała tylko na warunkach następujących: — przez cały czas trwania ucieczki nie ma do mnie przemówić ani pół słówka, nie może mnie dotykać i nawet pastor wtedy dopiero będzie mógł twarz moją zobaczyć i dowiedzieć się o naszych warunkach, kiedy już ślub zostanie zawarty. W przeciwnym razie, t. j. jeżeli nie zastosuje się do moich żądań, to w stanowczej chwili powiem — "nie!" Naturalnie, że musiał się zgodzić na wszystko.

ARTUR. Zkąd wiesz o tem? MARY. Czy nie pamiętasz, że wsiadając do wagonu, rozmawiałam z jakąś panią?"

ARTUR, A tak, na dworcu. Prawda — i nawet bałem się, że się spóźnimy na pociąg.

Wziąłem tę panią za damę do towarzystwa, za służącą — ale cóż ta pani miała wspólnego z tobą?

MARY. To była właśnie Bridget. Jest już jego żoną. Wszystko udało. się wybornie.

Oczywiście, Hawkins wścieka się, ale prędzej czy później musi się uspokoić. No i cóż ty . na to, najdroższy?

ARTUR. Podziwiam cię. Mary. Tak więc twój ex-narzeczonny ożenił się jeszcze
pierwej, nim ty wyszłaś za mąż?! Ale cierpliwości, jeszcze
dziesięć minut, i
będziemy u celu.

MARY. O niech nas Pan Bóg ma w swojej opiece.

ARTUR. Mary, przez litość, co tobie. Ty zbladłaś, patrzysz z
takim
przerażeniem...

MARY. (Z wyrazem strasznej trwogi wskazuje na obcego
pasażera). Spójrz tam!

ARTUR. Prawda, to coś nadzwyczajnego! Jego ręka się
porusza — patrzaj, patrzaj —
notes — on pisze!!!

MARY. Heaven save us! Jakiś warjat.

ARTUR. Prędzej lunatyk? Pisze śpiąc! (porusza go).

OBCY. (Zdejmuje chustkę z twarzy i składa elegancki ukłon).
Dzień dobry, Mr.

Busoni! Moje uszanowanie pani!

ARTUR. Pan mnie znasz?

OBCY. Któżby nie znał wybornego amanta ze Star-teatru?

Artur kłania się.

OBCY. Panią dziwi, że ja piszę przez sen. Uspokój się pani, ja
nie pisałem. Mam
tylko przyzwyczajenie bazgrać sobie trochę, gdy spać nie
mogę. Robię to jedynie
dla uspokojenia nerwów.

ARTUR. Osobliwe przyzwyczajenie!

OBCY. Proszę zobaczyć — kilka stron różnych wykrętaków.

MARY. Ach! Pokaż pan. Ależ to stenograf] a! Ja umiem czytać te niby bazgroty...

OBCY (cofając notes). Pani się myli. Ale pozwolę sobie zadać państwu jedno

pytanie: Państwo jedziecie do Filadelfii, ażeby pobrać się w sekrecie, nieprawdaż?..

ARTUR. Mój panie...

OBCY. Po co mi pan zaprzecza? Słyszałem część rozmowy państwa i chcę się państwu przysłużyć. Za kilka godzin przekonacie się o prawdzie słów moich i będziecie mi

bardzo wdzięczni. Na Jowisza, mam pyszną myśl! Jadę z państwem i będę waszym świadkiem, zgoda?

ARTUR. Przystaję, podajmy sobie ręce. Ale jakże się pan zowie?

OBCY. Później powiem! Pociąg się za-

trzymuje, jesteśmy w Filadelfii. Odchodzą te raz na dziesięć minut do telegrafu,

muszę bowiem posłać depeszę do New-Yorku. Czwarta godzina... trzeba się

śpieszyć... jest najwyższy czas na depeszę. Do zobaczenia.

ARTUR. Depesza dziesięciominutowa? Ale mniejsza o to.

MARY. Bóg go raczy wiedzieć! Jestem pewna, że pisał w wagonie z zamkniętymi

oczyma. Może stenografował to, cośmy... a, otóż i on!

OBCY. Jestem. Możemy jechać do pastora. Przedtem jednak, Mr. Arturze Busoni i

Miss Mary Dixon, pozwolicie państwo, że się im przedstawię (odstąpił parę kroków i skłonił się z uśmiechem): Mr. James Knox, sprawozdawca "New-York-Heralda."

.....

Pokój parterowy w mieszkaniu Jaśnie Wielmożnego Jonathana Dixona. Godzina -a rano. Mr. Dixon i Mr. Hawkins przechadzają się tam i z powrotem.

Mr. HAWKINS. Jak widzisz, kochany przyjacielu, mój środek pomógł. W naszym kraju dziewczęta inaczej nie postępują, muszą

uciekać zanim wyjdą za mąż. Romantyczność ma dla nich dziwny urok. Przytem dzienniki notują sobie wypadki, chwalą bohatera, a jeszcze bardziej bohaterkę, która uciekła wbrew woli rodziców, a to pobudza ich jeszcze więcej, i — there you are! He he he! Old boy — wiedziałem, że mój środek pomoże! Wstałem dziś o -

ej, posłałem do syna — właśnie też, niema go w domu. Owóż, niespokojny, kazałem zaprzędz i — there you are — jestem tutaj!

Mr. DIXON. Very well! Stary druhu! Jedno mnie tylko dziwi, że córka moja dała się namówić! Nigdybym nie dał temu wiary.

Mr. HAWKINS. A mnie to wcale nie dziwi. Mój syn. Pan nie znasz go, jaki to

huncwot! Wie on co robi! Łepak smart! Inni kręcą się po teatrach, koncertach, cyrkach — ten nigdy! Żal mu pieniędzy na takie rzeczy. Ja sam byłem o wiele gorszy w jego latach. Rozsądny, spokojny, poważny — rzucił okiem na pańską córkę, przekonał ją, ona, oczywiście, nie mogła mu się oprzeć i — there you are! Uściskajmy się — dzieci nasze pobrały się! Mr. DIXON. Dziwna rzecz, jak ja nie mogłem się poznać na własnym dziecku! Nigdybym nie dał wiary, że ona przystanie. To

upór wcielony! Prędzej bym uwierzył, że się rozkocha w tym aktorze, o którym paneś wspominał. No, thanks Heaven, lepiej się stało. (Na ulicy słycać wołania sprzedawcy dzienników: "Mornings - papers! - - - Mor - ning - pa - a - a pers!!!") Mr. HAWKINS (otwiera okno): Hej, boy, dajno mi "Herald". — Co pan rozkaże, panie Dixon? — "Times?" — Dobrze, daj mi i "Times" — tak! — masz tu centów! Mr. DIXON. No, kochany przyjacielu, przygotujmy się na to, że może już w przyszłym tygodniu przeczytamy w dziennikach o naszym porwaniu. Mr. HAWKINS. Bardzo mię to cieszy! Mr. DIXON. A teraz, opuszczę pana na chwilę. Pójdę do żony dowiedzieć się o...

Mr. HAWKINS. Zaraz — na litość Boską — co to takiego?
Ciemno mi w oczach — nie
mogę czytać dłużej — powietrza! powietrza!

Mr. DIXON. Uspokój się pan. Co się stało? Rozbicie pociągu?
krach giełdowy? Czy
może...

Mr. HAWKINS. (słabo). mój Boże! Czytaj pan.

Mr. DIXON (bierze "Heralda" i, z wielkim wzruszeniem,
czyta, co następuje:)

(Wiadomości telegraficzne).

Porwanie w sferach towarzyskich!

Miss Dixon zaślubiła aktora!

Tancerka na drucie wyszła za M-ra Hawkinsa!

Zwycięstwo miłości! — Tryumf prasy!!!

— J. K. — Filadelfia, września . Przy huku wagonów i
świście lokomotywy,
pędzącej w świat po nocy, w jednym z przedziałów pociągu
N-r , pomiędzy New-
Yorkiem a Filadelfią, korespondent nasz kreśli słowna
niniejsze, które wcześniej
redakcja otrzyma, aniżeli nastąpią opisywane fakta. W chwili,
gdy list dojdzie
rąk waszych, New-York spoczywać jeszcze będzie w śnie
głębokim. Ludzie zdumieją,

przeczytawszy "Herald" dziś zrana; wykwintne sfery
towarzystwie z "-ej Avenue"
zostaną niemało poruszone wiadomością, jaką im "Herald"
przyniesie. Nie dość, że
pismo nasze uprzedza czytelników o praw

dziwych zdarzeniach, jakie dopiero po upływie, czterech
godzin następują, dajmy
na to, w SanFrancisco, a co potem o danej porze i w danym
miejscu sprawdza się w
rzeczywistości, niedość, że zawiadania o wypadkach w
Londynie tak wcześnie, że
miejscowi mieszkańcy dopiero znacznie później dowiadują się
o tem ze swoich
dzienników, — ale obecnie "Herald" przechodzi samego
siebie, dziś bowiem
komunikuje wiadomość, która zadziwi całe towarzystwo, fakt,
który dopiero
nastąpi w tej samej chwili, gdy dziennik wyjdzie z
ekspedycji!... Tryumf prasy!
Nie masz zakątka na świecie, gdzie nie znalazłby się
sprawozdawca "Heralda", czy
to osada, złożona z -tu mieszkańców, czy gród milionowy, czy
to dzikie puszcze
południa, czy "Biały Dom" w Waszyngtonie, nawet na
najbystrzejszych okrętach
trans-atlantyckich, kursujących pomiędzy starym i nowym
światem, nawet w
najpośpieszniej szych pociągach dróg żelaznych — wszędzie
znajduje się bacznym na

wszystko oficjalista "Heralda"!.. Jakież to tryumf dla nas!
Jakież to chlubne
świadcstwo naszej wyższości ponad wszystkimi innymi
dziennikami świata!..
Już od dłuższego czasu miss Mary Dixon,

prześliczna córka Jaśnie Wielmożnego Jonathana Dixona,
rozkochała się z całego
serca w dzielnym, wytwornym i pięknym panu Arturze
Busoni, amancie Star-teatru.
Któraż bo z panien, gdy zwrócił na nią oko ten niepospolity
artysta, mogłaby mu
się oprzeć?! — Jednocześnie, do ulubionej ekwilibrystki
Bridget Mac Cornack z
cyrku Barnuma skierował swoje zapały jedyny syn
Wielmożnego Abrahama Hawkinsa —
zapały, oczywiście, sercem przyjęte. Obydwa stosunki
miłosne utrzymywane były w
najgłębszej tajemnicy, a to przez wzgląd na różnicę pozycji
społecznych, głównie
zaś przez wzgląd na rodziców, Może też obawiano się, ażeby
prawdziwe uczucia nie
zostały przyjęte za igraszkę młodości. A tymczasem zarówno
szanowny pan Hawkins
junior, jak i czarująca i pełna uroku Miss Mary zupełnie
poważnie przemyśliwać
nad uprawnieniem swoich skłonności. Ale co za dziwny zbieg
wydarzeń. Ojcowie tej
miłej pary powzięli zamiar połączenia ich ze sobą, t. j. pana
Hawkinsa młodego z

Miss Mary i oznajmili im o tym swoim zamiarze. I wtedy
dopiero wyszła na jaw
cała szlachetność tych serc młodych. Po wzajemnem
porozumieniu się ze sobą i
dojściu do

przekonania, że kochać się nie mogą, postanowili wyznać o
tem otwarcie obydwu
ojcom i oprzeć się stanowczo ich woli. Jakie walki wypadło
im staczać w domu,
jak długo musieli się borykać z losem, o tem wolimy
przemilczeć — gdyż to
wszystko jest dobre, co się dobrze kończy — koniec wieńczy
dzieło! Miłość
odniosła zwycięstwo! Serca ojców przewyciężyła miłość dla
dzieci! Przystali!
Rzecz niesłychana, tem bardziej jednak zdumiewająca. Teraz
więc należało prawnym
związkiem usankcjonować zezwolenie rodziców, i otóż
uchwalono, ażeby zaślubiny
obydwóch par młodych odbyły się na tak ulubionej dziś
drodze, jaką jest porwanie
i ucieczka. Ale i tu nawet wykazała się szlachetność
charakteru młodego pana
Hawkinsa, który nie chciał uciekać, lecz nocy dzisiejszej, bez
najmniejszej
ostentacji, kazał się połączyć związkiem małżeńskim ze swą
ukochaną Bridget,
którą wspaniałomyślny i mądry "wielmożny" — lub nazwijmy
go tak, jak na to

zasługuje — Jaśnie wielmożny" Hawkins przyjął do swego domu, jako córkę. Nie jest to żaden mezaljans, o ile bowiem sprawozdawcy wiadomo, panna Bridget po kądzieli wy-

chodzi ze starożytnego rodu we Francyi i jedynie fatalnym zbiegiem okoliczności zmuszoną była szukać kariery w cyrku. Niezależnie od tego jest to osoba wielce dystygowana i wysoce wykształcona. — Druga para postąpiła sobie nieco romantyczniej, połączyła się bowiem dziś zrana dopiero w Filadelfii.

Sprawozdawca miał zaszczyt spełniać obowiązki świadka przy zaślubinach nowożeńców.

Teatr Star zarówno jak i cyrk Barnuma, wskutek tych dwóch zaślubin, tracą dobre siły, publiczność zaś pozbawioną zostaje możliwości oklaskiwania dwojga wielkich artystów. Pan Busoni opuści niezawodnie scenę, albowiem "Jaśnie Wielmożny" Dixon zamierza mu właśnie wypłacić posag córki zarówno w dobrach ziemskich, jak i w gotowiznie.

Gdy otrzymacie telegram niniejszy, obie pary będą już po ślubie. Życzymy im tedy wszelkich pomyślności i szczęśliwych dróg życia, jakie przystają tak trwalej,

serdecznej i bohaterskiej miłości. Ojcom zaś, którzy wbrew
przesądom, oparli się
względem towarzyskim i majątkowym, cały świat złoży
niezawodnie oklask podziwu i
szacunku.

.....

Mr. HAWKINS (z jękiem). To wszystko?

Mr. DIXON. A czy nie dosyć?

Mr. HAWKINS. Okropność! Mój syn i ekwilibrystka!

Mr. DIXON. Moja córka i aktor!

Mr. HAWKINS. Co pan zrobisz? Wydziedziczysz —
wyklniesz — wypędzisz?

Mr. DIXON. Ani myślę. Usłucham "Heralda". Ach ci
dziennikarze! Sprawozdawca jest
niezawodnie w zмовie z dziećmi. Cóż mi pozostaje do
zrobienia? Świat sądzi,
żeśmy byli w porozumieniu i uważa nas za bohaterów.
Słowem — niech tak będzie,
muszę potwierdzić i przystać!

Mr. HAWKINS. Hm! A no, to i ja muszę, o ile ta tancerka na
druce jest choć jako
tako znośną!

Mr. DIXON. Jazda więc — do Filadelfii.

Mr. HAWKINS. W drogę — do cyrku Barnuma! (Wychodzą
śpiesznie).

Ciche westchnieni;. A tom się urządził! Mogą sobie
powinszować! — Ładny kawał! —
Nasze dzieci!... Miłe szczepy — ani słowa!

CHIŃSKI BALWIERZ.

W oknie pana Lee-Ah-Shong na Mottstrset, w chińskiej dzielnicy New-Yorku, wisiał wielki afisz barwy krwawej. Na afiszu tym — złotemi głoskami wydrukowany po chińsku i po angielsku — widniał jeden z owych jarmarcznych, czysto amerykańskich anonsów, którym pewien gładko wygolony i uwarkoczowany syn "niebieskiego państwa" wychwalał. swoje talenty. A otóż i wierna kopją anonsu:

Halloh! Halloh!

Ceny niżzone!

Dawniej cent. Dziś cent.

Golenie twarzy i głowy. Plecenie warkoczy. Łaskotanie uszu (minut!)

Oczyszczanie powiek. Obcinanie paznogi u rąk i u nóg i t. d.: — centów!

Lee-Ah-Shong.

Balwierz i operator odcisków.

Mnie do wejścia zachęciło nie tyle zniżenie ceny z -ciu. na centów, ile ta osobliwość anonsu, że oprócz golenia i zaplatania warkoczy, operator zajmuje się nadto łaskotaniem uszu, oczyszczaniem powiek i obcinaniem paznogi. Koniec końcem, przebyłem schody brudnego z zewnątrz drewnianego domu i wszedłem. Pokój, w którym się znalazłem, był mały; pośrodku stało krzesło z pochylonem do tyłu oparciem, przed nim stołeczek, obity malowanym jedwabiem, a nieopodal mała umywalnia z okrągłą miednicą porcelanową. Ściany ozdabiały pstre tapety, częścią papierowe, częścią płócienne, z których przyglądały mi się cudowne wizerunki bogów, — straszliwe wielogłowe i wielonożne smoki w najprzeróżniejszych odmianach. Pod oknem zauważyłem warkocz, zwieszający się z poręczy fotelu i sięgający aż do ziemi. Piękny ten okaz stanowił chlubę pana golibrody i operatora odcisków Lee-Ah-Shonga, który, na mój widok, wstał i zbliżył się do mnie. Mały, krępy i siwy chińczyk, w stroju narodowym; na nogach miał miękkie o grubych podeszwach pantofle.
— Chciałbym się ogolić, — rzekłem.

— Aal lajki! — wyseplenił golarz, źle wymawiając nieudolnym językiem angielskie

"all right", i wskazał mi miejsce na fotelu. Poczem rozrobił mydło i natoczył brzytwy. Dotąd nie znalazłem żadnej różnicy pomiędzy nim i każdym z golarzy europejskich. Cienka brzytwa ślizgała się szybko tam i z powrotem po skórzanym pasku, a głowa doktora poruszała się jednocześnie, tak, że i warkocz wykonywał ciągłe skoki.

Teraz obwiązał mi szyję płótnem, głowę cofnąłem w tył, a po chwili nieskończenie lekka ręka chińczyka zaczęła skrobać mój zarost. — Głowy możesz mi nie golić ani też zaplatać warkocza — rzekłem żartobliwie — dość mi będzie reszty. Ale płacę wszystko.

Musiało się to bardzo podobać chińczykowi.

— Hi hi hi, ho ho ho! — zaśmiał się i pogłaskał mnie po głowie, jakgdyby żałując, że jest cała obrośnięta włosom i że nie posiada ani śladu warkocza.

Golił bardzo wolno i nie zostawił ani jednego miejsca na twarzy, którego by się nie dotknął brzytwą, — nawet nos, czoło, skronie

i miejsca pomiędzy brwiami, wszystko przeszedł po kolei. Przedemną, na ścianie, na którą miałem oczy zwrócone, wisiał kawałek żółtego jedwabiu z pstem malowidłem, przedstawiającem stary rozwalony mur, przez który

przełaziły dziwaczne postacie o ludzkich głowach, motyli-
skrzydłach, musich
nogach i zakrzywionych pazurach. Przypuszczałem, że obraz
przedstawiał część
wielkiego muru, zbudowanego przed dwoma tysiącami lat
zgórą, na rozkaz cesarza
Chinga i po dziś dzień w części ocalonego. Na pytanie, czy tak
było istotnie,
Ah-Shong odparł, że obraz przedstawiał bramę w jego mieście
rodzinnem Ku-Jung.

— Bramę? — zapytałem zdziwiony. — Ależ to mur
zamknięty, otoczony Straszniemi
postaciami

— Hi hi ni! Mur zamknięty? Bo tak jest! Brama wymurowana
przed czterystu laty,

— i ciągle skrobiąc mnie po twarzy, — przyczem jeszcze raz
ją namydlił i znowu

osuszył, a wszystko z niesłychaną powolnością, —
opowiedział mi losy swojej

ojczyzny, arcyciekawe dzieje Ku-Jungu.

— "Jestto miasto w pobliżu Nankingu,

które dzięki pewnym wierzeniom a raczej pewnemu
zabobonowi Chińczyków, zwanem

Fung-Shui, pozyskało dziwną osobliwość. Zabobon "Fung-
Shui" polega na

przekonaniu, że powietrze pełne jest złych i dobrych duchów,
które w jednakowej

mierze wywierają swój wpływ na losy jednostek, jak i całych
narodów. Chińczycy

uciekają się wskutek tego po rady licznych specjalistów, t. zw. lekarzy Fung-Shui, którzy twierdzą, że są w możności kaptowania dobrych a wypędzania złych duchów. Przed niespełna laty, jeden z takich lekarzy Fung-Shui odkrył, iż miasto Ku-Jang wyda przyszłego cesarza, który, po objęciu władzy, wszystkich innych mieszkańców zmieni na mandarynów i wysokich urzędników. Cesarz ówczesny, niemniej zabobonny od podwładnych, uląkł się tej groźby i nie chcąc rodu swojego pozbawić korony, a przypisując wszystko niebezpiecznemu "Fung-Shui", postanowił uczynić go nieszkodliwym w sposób następujący. Najprzód kazał. północną bramę, przez którą prawdopodobnie wchodzą złe duchy do miasta, zamknąć i zamurować na wieczne czasy, poczem wydał prawo, że wszyscy mężczyźni z Ku-Jung mogą się zajmować jedynie na-

stępującymi czynnościami: — goleniem, operowaniem odcisków lub przyrządzaniem lasek bambusowych. Do ludzi, którzy będą mieli w raku jedynie ostre narzędzia, duchy nie będą śmiały się zbliżyć — tak przynajmniej objaśniali mędracy: przytem, a to było ważniejsze, cesarz nigdy nie zostanie wybranym z mieszkańców tego miasta.

"Prawo to utrzymało się aż do dzisiejszych czasów i ztąd —
kończył Alr-Shong,
pudrując mi twarz starannie wygoloną, — ztąd prawie
wszyscy cyrulicy, tacy jak
ja, pochodzą z Ku-Jung, które to miasto posiada szczególny
przywilej
doskonałości w naszym fachu, i po dziś dzień zaszczyca się
swoją bramą,
zamurowaną od północy".
Moje oczy przez cały ciąg tej opowieści spoczywały na
obrazie, a straszne duchy
Fung-Shui, oblegające zamurowaną bramę wydawały mi się,
jak żywe, jakby
skłębione w jedną masę, gotową przebyć mur zaklęty: ich
długie ciała
przeskakiwały jedno przez drugie, oczy świeciły dziwnym
jakimś blaskiem — a
wszystko z niezmierną szybkością krążyło wokół, wywołując
w moim umyśle coś w
rodzaju zawrotu głowy.

Poprawiłem się szybko na siedzeniu i zepchnąłem chińskie
strachy z przed oczu.

Doktorowi zaleciłem pośpiech.

— Teraz łaskotanie uszu! — rzekł i wyciągnął z szuflady
około -tu

najprzeróżniejszych małych instrumentów, noży, piłek,
szczotek, cążków i
młoteczków — tak, że zrobiło to na mnie wrażenie,
jakgdybym się znajdował w
poczekalni dentysty.

Przedewszystkiem, operator wprowadził mi do ucha długi i nadzwyczaj cienki lancet stalowy, którym jał szybko pokręcać palcami, a ruch ten wywołał w mojem uchu okropne i nader dotkliwe swędzenie. O mało nie krzyknąłem, tchu mi brakło — ale doktor lewą ręką trzymał mi mocno głowę i nie puszczał jej, mówiąc łagodnie, jak do niecierpliwego dziecka:
— Oh — Oh! No no, spokojnie — zaraz przejdzie. Aj, cóż to za brud!
Zanim się obejrzałem, już ta sama procedura rozpoczęta została z drugim uchem, poczem lancet ustąpił miejsca szczoteczce, okręconej delikatną szmatką jedwabną. Przy kręceniu tego narzędzia z ucha zaczął się sypać lekki pyłek, który operator zbierał w podsta-

wiony kubeczek srebrny. Teraz wziął trzeci instrument do ręki, w kształcie wydłużonego języka; wprowadził go do ucha w celu wydobycia zeń resztki włosów, jeżeliby się jakie znalazły. Aż oto nastąpił akt najważniejszy — właściwe łaskotanie uszu. Osobliwsza to operacja. Małe cienkie stałowe obcęgi, o zaokrąglonych drążkach, wprowadza się w głąb ucha tak, że końcem swoim dotykają bębienka: po wprowadzeniu otwiera się je za pomocą śruby zewnętrznej, przez co

otwór ucha rozszerza się możliwie, a wtedy operator łagodnie
zaczyna uderzać
małym młotkiem po śrubie i uderzenia powtarza przez chwilę
w równych odstępach
czasu. Wywołana w ten sposób wibracja bębienka powoduje
zrazu wysoce przyjemny
szum w całej głowie, a po niejkiej chwili słycać jakby
muzykę marzeń, jakieś
dźwięki oddalone, poświsty wiatru czy szmer fali i powoli
wszystkie te uczucia
przechodzą w stan lekkiego odurzenia, w półdrzemkę, pełną
arcymiłych widzeń,
które trwają dość długo, nawet po skończeniu operacji.
Teraz doktor przynosi miednicę z wodą zimną, przemywa
ucho gruntownie, osusza je
bardzo starannie i na tem wyczerpuje drugą

część programu — t. j. łaskotanie uszu. Operacja trwała równo
minut.

Przychodzi kolej na oczyszczanie powiek. Z szuflady zostaje
wydobyta nowa
kollekcja instrumentów. Niecierpliwość moja znikła, a
natomiast ciekawość
została podnieconą do najwyższego stopnia.
Przedewszystkiem obmywa mi oczy starannie wodą letnią,
następnie wywraca górną
powiekę prawego oka bardzo wolno i goli wewnątrz jej rąbka
miniaturową brzytwką,
usuwając naturalnie tylko włosy zbyteczne, wszystkie zaś
pozostałe czyszcząc

zarazem delikatną szczoteczką. To samo dzieje się z drugim okiem. Na zakończenie dmucha mocno w powieki dla usunięcia możliwego pyłu i gąbką jedwabną oczyszcza gałki oczne. Teraz pakuje wszystkie narzędzia i zagina rękawy swego niebieskiego płaszcza. Ze zdziwieniem śledzę jego ruchy. Miałżeby ochotę pan Lee-Ah-Shong poboksować się ze mną? Ale zacny Chińczyk nic podobnego nie miał na myśli; z szerokim uśmiechem, przy którym kąty ust sięgnęły mu aż do uszu, zbliżył się do mnie i rozpiął mi także rękawy od koszuli. Następnie ujął mnie mocno za prawą rękę,

swoją zaś lewą oparł się o moje ramię. W tej chwili usłyszałem silny trzask i jednocześnie poczułem nader dotkliwy ból w stawach ręki. Znowu trzask i znów ból; doznałem uczucia jakgdyby ktoś mi strzelał nad uchem raz po raz z pistoletu dziecinnego, tym razem jednak trzask pochodził z wydłużania mi stawów w palcach. Księżycowym synom "Państwa środka" procedura ta sprawia nadzwyczajną przyjemność, mnie jednak przyprawiła o ból niesłychany; do takich rzeczy trzeba się przyzwyczajać od młodości. Za każdym trzaskiem, krew uderzała mi do głowy.

Chciałem się zerwać i uciec, ale sił mi brakło. Ból był coraz dotkliwszy i rozszerzał się po wszystkich członkach, tysiące iskier stawało mi w oczach i po upływie kilku sekund, nie czułem nic więcej — zemdlałem. Kiedym otworzył znów oczy, cyrulik klęczał przedemną i rozsznurowywał mi kamasze; odgadłem, że te same straszne bóle czekają mnie i w nogach. Zdjęła mnie okrutna trwoga — dotąd mnie jeszcze bolały ręce i palce.. I oto — zerwałem się jak ukłuty, chwyciłem za kapelusz i laskę, cisnąłem na podłogę

monetę -cio centową i, nie żądając reszty, dopadłem drzwi i przez schody co sił zbiegłem na ulicę, — podczas gdy pan Lee-Ah-Shong, balwierz i operator odcisków z małym śmiechem stał przed raturą i zasylał mi ukłony, dopóki nie znikłem na rogu Mottstrest i nie uczułem się w zupełnym odeń bezpieczeństwie.

JAK ZOSTAŁEM POLICJANTEM.

No, za wasze zdrowie, dżentlemani, za wasze cenne zdrowie, i niech wam się długo dobrze wiecie! — Ach! Wyśmienite! Wspaniałe! Oto pyszny napój — przynosi on chlubę naszej sławnej ziemi — Co? Co pan mówisz? Chciałbyś pan poznać moje szacowne nazwisko? Ha ha! Dziś nazywam się Grzegorz Mackay, wczoraj zwałem się Jan Szmidt, a jutro przezwę się Ernestem Didier. Jak się będę nazywał pojutrze — tego jeszcze nie wiem. To zależy od roboty, moi panowie, od tego kawałka roboty, który mi wydzieli pan Naczelnik wszystkich Pinkertonianów. W jaki sposób stałem się Pinkertonianem, urzędnikiem na cały świat sławnej instytucji Prywatnych Detektywów czyli łapa-

czy Pinkertona? Opowiem to wam, dżentlemani, przytoczę nawet wszystkie szczegóły drugorzędne, które właściwie są szczegółami pierwszego rzędu, o ile tylko utkwily mi dotąd w tej przerażająco słabej łepetynie, którą tu oto spostrzegacie na moim zacności kadłubie cielesnym. Chwileczkę — dżentlemani — chciałbym tylko ten tego... cygarko... i zapalczka?... dia... pali się! Dziękuję. Tedy — ! Czy który z was, dostatni i przystojnie odziani panowie, był kiedy w

nędzy i bez roboty? — Bo ja byłem, zabrnąłem tak dalece w
nędzę, że końce moich
palców z rozpaczyny powyrastały przez wierzchnie okładziny
moich butów, a brzuch
mój od świtu do późnej nocy prawił oracje narodowo
ekonomiczne. Wskutek tego
jąłem się wałęsać po mieście, ażeby sobie coś nie coś zarobić
na obiad.
Niekiedy, o zmroku musiałem zebrać. Gdy mi się nie udawało
zgrupadzić
odpowiedniego funduszu na lokal, wtedy sypiałem w pustych
beczkach lub pod
schodami wielkich gmachów. W porządnych biurach,
poszukujących ludzi do pracy,
nie mogłem się pokazać, bo jeżeli które z nich, na widok mego
opłaka-

nego wyglądu nie obdarzyło z litości grosikiem, to z
pewnością wyrzucano mnie za
drzwi, jako bezwstydnego nicponia.
Ale otóż pewnego poranku, wyczytałem na szpaltach
"Worldu", że Pinkertonianie
poszukują zmyślnego człeka, któryby zdołał zastąpić zmarłego
niedawno członka
tej szacownej instytucji. Było to oczywiście szaleństwem z
mej strony, gdy mi
strzeliła myśl oświadczenia się z gotowością objęcia rzeczonyj
posady, ale żem
nigdy wielkim rozumem nie grzeszył i że nędza zmaltretowała
mnie już do reszty,

przeto, nie wiele myśląc, zawiązałem sobie na szyi starą i
pstrą chustkę,
zabytek moich lepszych czasów, przyfarbowałem końce
palców na nogach i dalejże
do kancelarji słynnego na cały świat biura.

.....

Z wyrazem rozpaczyny stanąłem przede drzwiami i wszedłem do
środka.

Przedemną ciągnęła się długa sala, pełna milczących
Pinkertonianów. Było ich
około pięćdziesięciu. Na mój widok, wszyscy podnieśli głowy
i śmiejąc się
złośliwie, jęli przyglądać się memu nosowi. — Dżentlemani,
czy

który z was zapomniał kiedy w domu chustki do nosa,
znajdując się w porządnym
towarzystwie? He? Kto był w. tem położeniu, ten by mnie
może łatwiej zrozumiał —
słuchajcie jednak dalej: — nagły strach przebiegł mnie od stóp
do głowy i
załaskotał mnie w nosie — hm, co?? nie macie potrzeby
kichać, dżentlemani, wtedy
był on jeszcze biały i smugły i posiadał naturalną barwę ciała
— tylko że już od
jakichś czterech tygodni nie mogłem sobie przywłaszczyć
żadnej chustki.
W mgnieniu oka, bolesne mary jęły się kołować przede mną.
Zgnębiony,

zmalretowany, zły, zwróciłem się do jednego z najbliższych siedzących.

— Dżentleminenie — rzekłem — daruj mej śmiałości, ale bądź tak łaskaw i pożycz mi swojej chustki do nosa.

— Jeżeli to wszystko, czego pan sobie życzysz, to...

— Ależ nie, ja... ja... tu... przy... — jąkałem, a serce skakało mi aż do

grdyki — ja-ę-ęja bo, moi panowie przyszedłem starać się — o tę posadę — z ogłoszenia.

Po tych słowach, scena zmieniła się zupełnie. Złośliwy uśmiech urzędników ustąpił

miejsca formalnemu rzeniu radości, poczem właściciel pożyczonej mi chustki wstał, otworzył drzwi boczne i oświadczył, tłumiąc śmiech w głosie:

— Si!r Ten oto szlachetny obywatel zgłasza się na wakującą posadę łapacza (detektywa).

Poszedłem naprzód, usłyszałem, jak drzwi zamknęły się za mną, i spojrzawszy przed siebie, dostrzegłem przy niskim biurku bardzo przystojnie wyglądającego pana. Przez chwilę lustrował w milczeniu moją "szlachetną" postać, wypuścił w powietrze kłęb niebieskiego dymu z cygara i wskazał mi ręką, ażebym usiadł.

Więc pan chcesz zostać Pinkertonianem — ozwał się łagodnie, kiedy już zajął miejsce i swoje ufarbowane pedały umieściłem dla bezpieczeństwa pod Krzesłem. —

W jakim biurze konkurencyjnym pracujesz pan obecnie? Jak widzę, jesteś pan w przebraniu i znajdujesz się w obowiązku, bo inaczej nie przedstawiałbyś się zapewne w taki sposób u mnie. Mogę panu powiedzieć komplement. Nawet tak doświadczone oczy, jak moje, nie mogą nic zarzucić pańskiej masce. Jest wyborną.

Wy-

glądasz na włóczęgę najlichszej kategorii.

Zdębiałem, a wzburzony do najwyższego stopnia, chciałem wyprowadzić z błędu naczelnika policjantów, język jednak odmówił mi posłuszeństwa.

— Dobrze więc — mniejsza, mniejsza, — mówił dalej, kiwając do mnie głową. —

Widzę, że się pan wahasz; nie chcesz mi powiedzieć, gdzie pracujesz obecnie, ażebym nie stracił dobrego mniemania o panu. Niech i tak będzie, nie mówmy o tem. Jak się pan nazywasz?

— Do woli pana naczelnika! — odparłem grzecznie.

— Rozumiem — rzekł z uśmiechem — w każdym razie powiedz mi pan swoje prawdziwe nazwisko.

— Mac Coy, do usług.

— Przed służbą w policji, czym pan byłeś?
— Buchalterem.
— To wystarczy i na ten punkt. Poddam pana zaraz próbie, ażeby się przekonać, czy pan mi się przydasz, czy nie. Oto dollarów (przy tych słowach podał mi banknot), schowaj pan te pieniądze na drobne wydatki,

następnie przebierz się pan w nasze ubranie jaknajgustowniej. Odegrasz pan dzisiaj rolę spokojnego obywatela.

.....

Po upływie dwudziestu minut, stałem znowu przed naczelnikiem, który badawczym wzrokiem zmierzył mój elegancki kostium, poczem zerwał się nagle z krzesła i zbliżył się do mnie, mówiąc:
— Proszę stać i słuchać! Od tej chwili jesteś pan moim podwładnym, moją maszyną, moim aparatem i nie posiadasz pan żadnej własnej myśli. Baczność! Oto pańska marszruta, którą masz sobie zapamiętać. Masz pan mi zdemaskować pewnego jegomościa, poszlakowanego o zbrodnię. Dam panu pomocnika, który towarzyszyć ci będzie do Broadway, ażeby naprowadzić na ślad zbrodniarza. Z chwilą, kiedy go pan schwycisz okiem, powinieneś iść za nim krok w krok, śledzić, co robił, gdzie

był, jak się zachowywał i wogóle wiedzieć wszystko, co tylko
dotyczyć go może.

Gdzie nie można wleźć, tam trzeba podleźć, — nie można
podleźć, to się chodzi i
czeka. W miarę możliwości jechać z nim trzeba zaw-

sze na jednej szkapie i udawać, że nie o niego chodzi, ale o
całość uzdy. W

każdym razie nie należy kości wyciągać z poza pazurów.

Odcisków również nie

oszczędzać. Idzie głównie o to, ażeby nie wyjechał z New-
Yorku; bo już poza

granicą kłykcia mu nie wykręcisz — zrozumiano?! No więc.

— Nie, nie zrozumiano, panie naczelniku! — przerwałem
pełen śmiertelnej trwogi,

ocierając zimny pot z czoła: — pan mnie raczy wysłuchać, ja
niejestem...

— Milczyć! — zagrzemiał wściekle: — milcz, chłopie, kiedy
stoisz przed władzą,

bo inaczej milion bomb i granatów zrówna cię z ziemią. Masz
tu przed sobą nie

jakiegoś starszego łapacza, nie dozorcę, lecz głównego
inspektora wszystkich

Pinkertonianów... Otóż, jak rzekłem, póki nie nastąpi część
dnia N? , depcz,

prześladuj, trap go aż do samego łóżka, potem pastw się nad
nim ołówkiem i

zarządź latającą wartę na całą noc. Zrozumiano?!.. Na lewo
zwrot! Jutro o -ej

zrana tu, z powrotem! Marsz!..

.....

Opuściłem drzwi, jak lunatyk.

"Drepcz — trap — śledź — latającą wartę — pastw się
ołówkiem — wleź i podleż —
szkapa — kości — odciski" — wszystko to odbierało mi
zmysły. Tysiące kwestji z
szybkością rakiet oświetlało mi czaszkę po to, ażeby za chwilę
pograć się
jeszcze w większą ciemność i ogłupić mnie do reszty. Miałem
wracać? Nie byłoż
moim obowiązkiem oskarżyć samego siebie, wyznać, kim
byłem, i ponieść zasłużoną
karę? — Oho! było już zapóźno! Niema co, naprzód tedy,
naprzód!

Na korytarzu spotkał mnie urzędnik o zagniewanem
spojrzeniu, porwał mnie za rękę
i pełnego zgrozy wyrzucił za drzwi z taką siłą, że musiałem
się mocno uchwycić
za poręcz ażeby nie spaść ze schodów.

— Czyś pan oszalał? — rzekł do mnie ten miły człowiek: —
jeżeli za pięć minut
nie będziemy na Broadway, zbrodniarz nam się wyśliźnie i
zamiast posady, spotka
cię sromota!

Chwiejnym krokiem szedłem przy uprzejmym koledze przez
całą ulicę -tą, kierując
się w stronę Broadway. Żaden z nas nie mówił ani słowa,
Z początku przyszła mi nagła myśl do

głowy, ażeby skoczyć w jedną z przecznic i ulotnić się raz na
zawsze z moim
nowym kostiumem i z banknotem pięćdziesięciorublowym,
ale później obrałem drogę
lepszą — czy może gorszą — i zwróciłem się do ponurego
towarzysza.

— Kochany panie — rzekłem doń błagalnie — proszę, na
litość Boską, daj mi pan
jakiegokolwiek wskazówki — toż mam być pańskim kolegą —
wytlómacz mi pan
przynajmniej te zagadkowe wyrazy, z których zacny wasz
inspektor ułożył mi
marszrutę.

Bez odpowiedzi. Przeszył mnie tylko strasznym wzrokiem,
zmarszczył, brwi i
przybrał wyraz twarzy tak drwiący, że przyszła mi nagle
ochota poturbować
"kochanego" pana. W czasie jednak walki wewnętrznej, jaką
stoczyłem ze sobą dla
odpędzenia pokusy, ten, któremu groziło tak wielkie
niebezpieczeństwo, pochwycił
mnie z całej siły za poję (uśmiechając się tak, jakgdyby miał
mnie zamiar
przeprosić) i stanął.

— Jesteśmy na miejscu! — mruknął do mnie: — tu, na rogu
ulicy Fultona, będziesz
pan stał i wyczekiwał zbrodniarza. Nie mogę go panu opisać,
jest już bowiem
zapóźno, ale masz

pan oto jego fotografię. Jeżeli nie ujdzie panu — zostaniesz
pan dzielny
policjantem.

Co mówiąc, wręczył mi portret zbrodniarza, uśmiechnął się
zjadliwie i znikł w
tłumie na ulicy Fultona.

.....

Za wasze zdrowie, dżentlemani, za wasze cenne zdrowie!
kluk... kluk... kluk...

ah! Pyszności truneczek... Co? Mam opowiadać dalej?

Chcecie wiedzieć zapewne, co

mi się przytrafiło za owych czasów? A no, skoro wam to
sprawia przyjemność, będę

mówił. Przedtem jednak pozwolicie mi, djabło elegancy
panowie, zadać wam jedno

pytanie — należy ono do rzeczy... Czy który z was,
dżentlemani, nie uległ

przypadkowi na drodze żelaznej? Czy który z was nie skręcił
kiedy zacnego karku?

A może choćby który z dżentlemenów, płynąc po morzu,
wypadł z okrętu i

utonął?... Żaden? Żadnemu się nie zdarzyło nic podobnego?!

Jeżeli tak, to bez

urazy, ledwo że was można szanować, djabło z was niewinne
żółtodzióbki, które

bodaj czy będą mogły sobie zdać sprawę z tego
galaretowatego stanu urny-

szu, w jakim ja znalazłem się na rogu ulicy Fultona,

Było zaledwie wpół do dziesiątej zrana. Cała ogłuszająca wrzawa New-Yorku z jej turkotem górnych pociągów nademną, z jej dzwoniącymi tramwajami przedemną, z jej tysiącami koni, wozów, karet, kuców i "Cabów" wszędzie i tu i tam, i dookoła, a wreszcie z tą kotłownią ludzi, którzy, jak lawa potoku, pędzili naprzód jeden przez drugiego, — wszystko to wrzało tuż koło mnie, dołem, naprost olbrzymich magazynów i kantorów. W głowie czułem szum straszny. Jako? W tej tedy nieprzejranej, niezliczonej masie postaci ludzkich mam wynaleźć jednego człowieka? Z rozpaczą spojrzałem na fotografię, trzymaną w rękę, i pokręciłem głową. Mój zbrodniarz wyglądał tak, jak wielu innych ludzi. Twarz przystojna, ściągła, z ładnym wąsem, o rysach wybitnie energicznych i w białym cylindrze nagłowie; na lewym policzku cienka blizna, jakby od cięcia szpady, krawat spięty "soliterem", jak pięść. Już chciałem ten ostatni wraz z jego właścicielem, z właściwą sobie serdecznością, posłać do wszystkich djabłów, samego zaś siebie odstawić tam, gdzie pieprz rośnie —

gdy wtem, coś jak prąd elektryczny przebiegło mi wszystkie członki.

Oderwawszy oczy od fotografii, spostrzegłem wśród
skotłowanej masy ludzi biały
cylinder, pod nim zaś — o nieba! pomylić się było
niepodobieństwem — wąsate
oblicze mordercy! Całe morze uczuć radosnych wylało się na
mnie, mój przed
chwilą tak ciężko pracujący przyrząd myślowy opanowała
niewypowiedziana żywość,
skoczność, gorączka — Bóg Najwyższy nie opuścił mnie w
potrzebie!

Jak warjat, przedarłem się przez tłumy i poszedłem trop w trop
za odnalezionym
złoczyńcą! W tej chwili odwrócił on nieco głowę na bok —
oczy moje spostrzegły
jego lewy policzek... — i ostatnia wątpliwość znikła. Tak, to
on, on niezawodnie
— na policzku miał prostą, czerwoną rysę — ową szramę od
cięcia szpady!

Na rogu "Maiden Lane" wszedł on do sklepu z cygarami i
zaczął kupować, ja zaś
stałem przed oknem, nie spuszczać go ani na chwilę z oka.
Zdawało mi się, że
mnie spostrzegł, gdy bowiem wyszedł na ulicę, rzucił na mnie
badawcze spojrzenie
i podążył prędzej,

jak gdyby miał coś pilnego do załatwienia. Hm, miałżeby
przeczuwać, że go
policja śledzi? Z wielkim trudem udało mi się nie stracić go z
oczu. Znowu tedy

przeszedł Broadway, w dół na Johnstreet, przez pewną część Nassanstreet, i znowu powrócił do "Maiden Lane, " dokąd weszliśmy już teraz od dołu. W jednym ze sklepów jubilerskich, z których składa się cała ulica, mój jegomość przepadł.

Okrutnie mnie to zmartwiło. Niewiele myśląc, wchodzę także do tegoż sklepu — a był to Nr. — i staję przy kontuarze.

— Czem mogę panu służyć, sir? — zapytał mnie właściciel. Nie dałem mu żadnej odpowiedzi. Szło mi głównie o znalezienie mojego zbrodniarza, którego też, po niejakej chwili, spostrzegłem w głębi na ożywionej rozmowie z jakimś innym dżentlemenem.

— Czem mogę panu służyć, sir? — powtórzył właściciel nieco głośniej.

— Ach, dajże mi pan spokój! — odburknąłem gniewnie — jestem policjantem.

Jubilerowi nie spodobała się ta odpowiedź.

— Policjantem? Prędzej warjatem, powiedz pan! Czego pan chcesz tutaj?

I wtedy wykazała się cała moja głupota. Pełen godności, ująłem jubilera za guzik surduta i szepnąłem, wskazując na wysokiego nieznajomego:

— Trzymaj pan język za zębami, rozumiesz pan! Jam jest łapacz i to kuty łapacz, rozumiesz pan, a tamto morderca, którego śledzę, rozumiesz pan?

Zaledwie wypowiedziałem te słowa, jubiler odskoczył odemnie i zaczął wrzeszczeć w niebogłosy:

— Na pomoc, na pomoc, złodziej — przeklęty złodziej!
I oto spadły na mnie pięści dziesięciu czy dwunastu silnych subjektów i przytłoczyły mnie do ziemi. Nieznajomy przybliżył się także i zapytał, co się to stało?

— Złodziej, łotr, gałgan, nędznik! — urągał mi jubiler. — Powiada, że jest policjantem i że pana śledzi. Ha, ha, ha! bo pan masz być jakimś zbrodniarzem!
Po twarzy nieznajomego przebiegł wesoły uśmiech. Następnie, odwrócił się i wyrzekł

cztery słowa, tylko cztery krótkie słowa, które mi jednak dobrze utkwiły w pamięci:

— Wyrzucić go za drzwi! — powiedział poprostu.
To, co nastąpiło, trudno opisać. Dwadzieścia cztery rąk spadło na mnie, jak jedna, porwały mnie do góry i jeły podrzucać w różne strony, robiąc sobie tyle ze mnie, co wiatr z wróblego piórka. Po upływie dwu sekund byłem jednym z najdotkliwiej poturbowanych mieszkańców New-Yorku i okolic i sam za własne słodkie życie nie dałbym złamanego centa. W jaki sposób właściwie znalazłem się

na ulicy — nie wiem, że jednak dotknąłem i progu i schodów,
wylatując jak ptak
ze sklepu, to kwestji nie ulega. Z trudnością zwlokłem się z
bruku i powziąłem
smutne postanowienie opuszczenia Ameryki, byle tylko
uniknąć oczekującej mnie
kary. Dopiero przy zbiegu Maiden Lana i Broadway przyszło
mi do głowy, że
przecież znajduję się w kraju wolnym i otóż doszedłem do
przekonania, że lepiej
będzie zostać i tak pięknie rozpocząć pogoń za mordercą
doprowadzić do końca.

.....

Mój nowy, szary kostium! Ach! mój biedny, elegancki
kostium! Mój kapelusz, mój
dystyngowany Derby! Ładnie mi się urządziły te wszystkie
śliczności! A ja sam
teraz, ja sam, jakiż stanowią obraz nędzy i rozpacz, z temi
podpuchniętymi
oczyma, pełen sińców, ran i okaleczeń!
Atoli, mało zwracałem uwagi na to wszystko, albowiem
nawskroś mnie ogarnął zapał
mojego powołania.
Czekałem. Minęło pół godziny, lecz morderca, a jak teraz to i
pięściobójca, nie
pokazywał się wcale. Tylko tam i z powrotem przechadzał się
jeden z twardorekich
subjektów jubilera, rzucając ciągle okiem na róg ulicy, z
którego jednak nie

ruszyłoby mnie teraz bodaj dwadzieścia koni! I nareszcie
wytrwałość moja
odniosła zwycięstwo, morderca wyszedł na ulicę, skierował
się szybko w stronę
lewą i podążył na róg Nassaustreet. Ścigałem go, jak
błyskawica. Wsiadł do
jednokonki, ja także. Dziki pościg rozpoczął się przez ulice,
przez place, aż do
"Fifth Avenue Hotel " Tam wysiadł — ja także. Poszedł na
obiad do hotelu — ja
nie. Czekałem na dworze i wsłuchiwałem

się w okrutne burczenia brzucha. Była już godzina trzecia,
dawno już popołudniu!
Nie skusiłem się jednak, ażeby wejść do jakiej restauracji —
lękałem się bowiem
stracić z oka mojego mordercy. Do owej jadłodajni hotelowej,
niestety, wejść nie
mogłem, wygląd mój bowiem był wcale nie po temu.
Nareszcie, o -ej ukazał się znowu przedmiot moich zabiegów,
a nie spostrzegłszy
mnie, ukryłem się bowiem za wózkiem z owocami, wolno
poszedł wzdłuż ulicy
szóstej na stację kolei górnej. Tu wsiedliśmy do pociągu i
pojechaliśmy do
miasta dolnego aż do Batteryparku i wysiedliśmy w pobliżu
przystani
brooklińskich statków pasażerskich.
Straszna trwoga mnie zdjęła. Czyżby mój jegomość zamierzał
opuścić New-York?!

Tyle przecież zrozumiałem z wydanej sobie zagadkowej instrukcji, że muszę zapobiedz, ażeby zbrodniarz nie wydostał się poza granice miasta.

Doprawdy, idzie na przystań! Czekażcie, bratku! — więcej, jak raz jeszcze jeden nie mogę być karany; — zebrałem wszystkie siły, dopadłem chłopca i zagroziłem mu drogę.

Przerażony, stanął i spojrzał na mnie.

— Nie dosyć panu tych pięści, których ślady dotąd nosisz? — zapytał.

— Schowaj pan swoje żarty dla siebie — odparłem, — porachujemy się później ze sobą. Tymczasem, nie puszczę pana na statek.

— Ale pan jesteś niespełna zmysłów! Przyjrzyj mi się pan dobrze, jeżeli w istocie jesteś policjantem, a nie zwyczajnym ulicznikiem? Pan się mylisz. Jestem generałem armji tego sławnego kraju — zobacz pan, ile posiadam orderów!

Odsłonił palto i wskazał mi około tuzina błyszczących odznaczeń, złożonych z orderów "Wielkiej Armji."

Wzruszyłem ramionami.

— Choćbyś pan był nawet samym prezydentem, dla mnie jesteś dziś krwawym złoczyńcą, którego nie wypuszczę ze swoich szponów. I znowu zaczęło się coś bardzo pięknego i zajmującego. Nieznajomy jął tak

strasznym głosem krzyczeć:

— Warjat! Szalony policjant! — że gawieź jąła się ze
wszystkich stron zbierać,
przyszli nareszcie członkowie straży miejskiej

i mnie wraz ze zbrodniczym generałem odprowadzili do
cyrkułu.

.....

Wprowadzono nas do biura policyjnego w -tym okręgu
miasta. Dyżurny urzędnik,
barczysty sierżant, podejrzliwie spojrział na mój wygnieciony
kapelusz, pomięty
kołnierz i wymiętoszone ubranie, i pokręcił głową.

— Pan miałbyś być agentem tajnym?! Hm, proszę o
świadczenia.

— Nie mam żadnych świadczeń!

— To proszę mi się wylegitymować w jakikolwiek bądź inny
sposób.

— Nie posiadam żadnych legitymacji!

— W takim razie, jesteś pan zapewne oszustem. Generale,
miałeś pan słusność.

Co mamy zrobić z tym ptaszkiem?

Te ostatnie słowa były skierowane do zbrodniarza.

— Zamknijcie go do ciupy — odparł ten ostatni, — ażeby
mnie raz nareszcie

uwolnił od siebie. Jeżeli nie jest ulicznikiem, to w każdym
razie obłąkanym!

— Czy pan mieszka w naszym mieście? — zwrócił się teraz
urzędnik do mnie.

Potwierdziłem.

— Jako obywatel, złożysz pan tu dolarów na pewno, że się jutro zrana zjawisz do sądu policji poprawczej, albo też, jeżeli pan tej sumy nie posiadasz, zatrzymamy pana tu do jutra.

Ku ogólnemu zdziwieniu, wyjąłem z pugilaresu dolarów, położyłem je na biurku sierżanta i z wielką pompą wyszedłem za drzwi.

.....

Za mną wyszedł morderca.

— Kochany panie — rzecze, — czy jeszcze pan nie jesteś przekonany, że się mylisz?! Wszak pan widziałeś, że wszyscy ci ludzie, nawet policjanci, znają mnie wybornie. Jestem rzeczywiście generałem, jakem to panu powiedział. Czy pan nie zauważyłeś, jak urzędnicy zerwali się na mój widok, jak salutowali mi wszyscy?

Skoroś pan tedy zauważył, to idźże pan sobie swoją drogą i pozwól mi także odejść w spokoju.. No, cóż, zgoda?

— Owszem, generale — odparłem, a humor powołania po raz pierwszy pokazał swoje rogi: — zgoda. Bo dowiedz się pan, że to wszyst-

ko były tylko żarty. Nie jestem ani łapaczem, ani warjatem, ale poprostu

reporterem dziennikarskim. Pragnąłem napisać coś nie coś o przygodach agenta policji tajnej i sam wdrożyłem się w jego postać. Żałuję bardzo, że, z powodu głównie tego białego cylindra, wypadło mi pana właśnie obrać sobie za przedmiot moich doświadczeń! Gdybym mógł przypuścić, że pan jesteś generałem...

— Ach, więc reporter? — roześmiał się morderca, wyraźnie zdziwiony. — Teraz wszystko rozumiem. Przebaczam więc panu chętnie, bez urazy jednak, cieszę się niezmiernie, że mnie pan nareszcie uwolnisz od swej osoby. Zegnam!

— Szacunek! — odparłem i przeszedłem na drugą stronę, poczem jednak powróciłem znowu i szedłem krok w krok za mordercą, aż w końcu — około wieczorem — prześladowany udał się znowu do "Fifth Avenu. Hotel, " na nocleg.

.....

Naprost hotelu, w ciemnym zagłębieniu bramy, obrałem sobie stanowisko i harowałem do świtu.

Miasto było już oddawna uśpione. Spokój i cisza zaległy gwarne ulice, po których hulał tylko wiatr i podrygiwały światła w latarniach gazowych. Zdala zbliżał się

wolnym krokiem, rozlegającym się w ciszy, stróż nocny,
minął mnie i znikł w
ciemnościach ulicy. A ja, w wilgotnej bramie stałem ciągle
sam jeden, głodny,
drżący, zbity i znużony i szcękając zębami, ze smutkiem
przemyślałem o żonie
i dziecku, których, co prawda, nie mam dotąd, ale przecież
kiedyś mieć je mogę,
jako też o strasznym katarze, który również święcie mnie nie
minie.

Gdy nareszcie zaczęło świtać, a długie okna hotelu ukazały się
w różowym blasku
jutrzenki, wyjąłem notes, ażeby zapisać to, com przeżył,
niedługo jednak byłem
zajęty pisaniem, gdyż pierwszym człowiekiem, który o
godzinie -tej wyszedł z
hotelu, był — któż, mój człowiek, mój morderca!
Z kuferkiem podróżnym w ręku, wybiegł szybko z bramy i
podążył ulicą.
Nie spuszczać z niego oka ani na jedną chwilę, opuściłem
swoją wilgotną norę,
ażeby iść za nim, gdy wtem, cofnąłem się, pełen zdumienia i
zgrozy: ulica była
pustą, mój niezna-

jomy znikł, jak kamień w wodzie! Na Boga, miałże to być
sen? Nie mógł się
przecież zapaść w ziemię?! Jak szalony, zacząłem biegać po
ulicy, to tu, to -
tam, zaglądałem do każdego domu, za każdy węgiel —
napróżno, znikł — i tyle.

Otóż — wszystko stracone. Tuż przy brzegu ojczystym —
okręt mój zatonął!
Znicestwiony, wróciłem do owej bramy, w której stałem sród
nocy i jak przez sen
jąłem się wpatrywać w okna przeciwległego hotelu.
Godzina płynęła za godziną, ulica stawała się coraz bardziej
ożywioną, coraz
huczniejszą, aż nareszcie znowu ogarnęło ją piekłoienne.
Nic nie słyszałem,
nicem nie widział. Ciężki smutek opętał mi duszę, ostatni
promień nadziei
zagasł. Znow nędza, znow czarna, okrutna nędza!
I wtedy przyszedł nareszcie czas udania się do biura. Do biura
— ha, ha! z
raportem!
Poszedłem. — Nie miałem już nic do stracenia.

.....

Nie zważając na tryumfujące spojrzenia -ciu Pinkertonianów,
zboczyłem z sali
głów-

nej wprost do kancelarji inspektora i sam oznajmiłem mu
swoje przybycie.

— No, jak tam poszło kochanemu panu? Jakiż skutek —
pomyślny? — zagadnął mnie
inspektor.

W milczeniu spuściłem oczy, wyjąłem pugilares i wydobyłem
z niego resztę
pieniędzy.

— No, zacznij-że pan swoje sprawozdanie.

— Panie inspektorze — rzekłem bez głosu, kładąc pieniądze na stole, —

dopuszciałem się wielkiej malwersacji, i przyznaję się w pokorze. Wszystko przepadło...

— Nie rozumiem pana. Więc nie wynalazłeś pan zbrodniarza?

— Owszem, o co, jak o to... wynalazłem go i nie spuszczałem z oka aż do dziś do

godziny -tej zrana... ale jechać z nim na jednej szkapie nie mogłem, jakkolwiek

nie wyciągałem kości z pazurów i nie szczędziłem odcisków.

Wogóle, o ile

zrozumiałem instrukcję, starałem się ją spełnić, niestety — proszę mi darować —

widocznie jednak nie mam żadnych kwalifikacji na tajnego agenta...

Chciałem mówić dalej, lecz, dżentlemani, słowa zamarły mi na ustach; przerażony, da-

łem krok w tył i oparłem się o poręcz krzesła, ażeby nie upaść.

Z drzwi bocznych, które otworzyły się bez trzasku, wyszedł — morderca!

Inspektor zerwał się szybko z miejsca, wyprężył się i spojrzał zwierzchnikowi prosto w oczy.

— Dzień dobry, kochany inspektorze! — odezwał się ten ostatni.

— Dzień dobry, generale! — odparł zagadnięty, ani mrugnawszy okiem.

Wtedy "generał" zbliżył się z wolna do mnie, przypiął mi do piersi biały medal i łagodnym głosem, oparłszy rękę na mojem ramieniu, rzekł, co następuje:

— Dobrześ się dziś sprawił, mój przyjacielu i zapowiadasz zdolnego człowieka.

Szedłeś za mną trop w trop, jechałeś ze mną na jednej szkapie, włąziłeś,

podłaziłeś, słowem, postępowałeś sobie tak, jak stary wyjadacz policyjny. To

wszystko, coś pan robił dla mnie, tak, jak dla samego siebie, zawiodło pana

wprawdzie w końcu, w każdym jednak razie pańskie czaty nocne przynoszą panu

zaszczyt; było to coś doskonałego w swoim rodzaju. Ód

tej chwili pozostań przeto na usługach naszego domu. Nie dość, że sam osobiście

wypróbowałem pana, ale bardzoś mi się podobał i na przyszłość będę o panu

pamiętał. Jestem rzeczywiście generałem i nazywam się Tecumsch Bell, o czym pan

teraz wiedzieć powinienes; nadmieniam, że stoisz pan przed głównym wodzem tej

sławnej instytucji agentów tajnych i naczelnym dyrektorem wszystkich

Pinkertonianów!

Tak to, dżentlemani, zostałem policjantem!

CZŁOWIEK O SZKLANNYCH OCZACH.

(SZKIC Z ŻYCIA CZARNYCH).

I.

Przez długie ulice Atlanty, licho oświetlone gazem, wśród późnego lata, unosiły się opary miejskie, — noc nie zdołała ich rozwiać. Po troskach dziennych przyszła kolej na nowe cierpienia — plaga zwabionych światłem moskitów, dzięki której mieszkańcy City nie mogli zażyć zwykłego spoczynku. Ulica przypominała obóz. Pomimo późnej, a raczej wczesnej pory — była zaledwie godzina pierwsza w nocy — stopnie domów były wypełnione wółubranemi postaciami, które napawały się chłodem poranku. Z otwartych okien- dochodziły wesołe śmiechy kobiet. Od czasu do czasu rozlegały się przeciągłe świstki parostatków, krążących wzdłuż i w szerz po kanale. Ponad wszystkimi jednak głosami dominowało, w dość regularnych od-

stepach czasu, wyraźne wołanie, nie obce ludziom,
oswojonym z gardłowem
brzmieniem głosu murzynów: "Hot Corn! Hot Co-o-o-rn!",
któremu, niby echo, nieco
grubszy głos wtórzył to samo, w dwie sekundy później, od
strony przeciwległego
węgła ulicy.

Przy końcu szeregu domów, tam, gdzie jedna z ulic
nadbrzeżnych przecina główną.
Avenue, stała przed niskim stolikiem murzynka, obracając"
na gorącym rożnie
kukurydzę, aż do jej zmiękczenia. Towar nabywali
przechodnie, a zachęta do kupna
rozdierała znowu powietrze. Z piersi tej właśnie murzynki
wydobywał się
pierwszy głos "Hot Corn, " podczas gdy mniemane echo
wydawała z siebie jej
gorliwa konkurentka, zajmująca się sprzedażą ulubionej
potrawy na drugim rogu
ulicy. W ostatniej godzinie interes na kramach
kukurydzowych szedł ospale. Jeden
jedyny przechodzień nabył żółty przysmak, wysmarował go
obficie osobno stojącym
masłem i poszedł dalej, podczas gdy z mroku dobywał się głos
gorliwej i
zazdrosnej konkurentki. Było już po pierwszej. Wołania
stawały się coraz
rzadsze. Obie kobiety zabierały się do opuszczenia swoich
pozycji. Ale otóż z
głębi

ulicy dał się słyszeć odgłos ciężkich kroków, coraz bliżej i bliżej — i otóż
znowu handlarki jeły się przekomarzać swemi gardłowemi słowami zachęty do kupna.
W istocie — kupiec! Z mroku wystąpił murzyn w pstrem ubraniu, pogwizdujący
wesołą piosnkę "lig" wypukłemi wargami. Prawą ręką, z szerokim srebrnym
pierścieniem na palcu wskazującym, pokręcał on elegancką, t. j. trzycalowej
grubości lachą; z pod rękawów jasnożółtej marynarki wybiegały olbrzymie mankiety
w niebieskie paski, które w ciemności przypominały kratę żelazną, kołnierz tego
samego rodzaju okalał mu szyję, która, tem samem, również wyglądała jakby ujętą
w pręty żelazne. Bezwątpienia — przybywający był prawdziwym "colored gentelman,
" — kolorowy dżentleman pierwszej klasy.
Zapuściwszy prawicę w szerokie spodnie niebieskie i potrząsając gotówką, zbliżył
się do siedzącej po jego stronie przekupki — w tejże jednak chwili z okrzykiem
zdumienia odskoczył w tył i sięgnął do bocznej kieszeni kurtki, dla wydobycia
czegoś ciemnego i długiego, co, mrużąc, do warg przycisnął. "Hot Corn!" które
już już w najpiękniejszym dyszkancie wybiedz miało z ust przekupki, zamarło na
jej

ustach. Przez jedną sekundę oniemiała i przerażona, nagle, jak tygryska,

skoczyła do czarnego młodzieńca i zaczęła go szarpać.

— Mam cię, zdradziecki murzynie! — wrzała co siły. —

Mam cię nareszcie, i sam

djabel nie wyrwie cię z moich szponów! Come on, ach, come on! żaden opór ci nie

pomoże, chodź do latarni!

Istna mała czarna lawina, kulnęli oboje czarni na środek ulicy, aż do stojącej

tu latarni miejskiej. Teraz wybiegła z poza swego stołu druga przekupka i

zbliżyła się do owej pary. Jednym spojrzeniem, jednym

jedynym objęła pojmanego

dżentlemana i również, jak jej konkurentka, podniosła ręce do góry i wybuchnęła

straszonym krzykiem:

— To on! To on, by Gosh! to on! A! zdrajco, murzynie jeden, znalazłam cię

nareszcie! 'Precz od tej nędznicy, do mnie, do twej prawowitej małżonki, którą

opuściłeś nikczemnie!

— Co? Jego małżonki? Czy ta kobieta oszalała? — z jękiem odparła pierwsza

murzynka i rozpaczliwymi ruchami jęła rozrzucać ręce w obie strony. — To ja, ja

jestem jego prawną żoną, ja, ty czarownico, mnie on opuścił, nie ciebie!

— Kłamiesz! Mnie! — przy tych słowach obie jęły szarpać nielitościwie przedmiot

swoich zabiegów. — Niech djabeł będzie twoim mężem, ale ten szlachetny dżentlemen jest moim!
Straszna walka zawrzała pomiędzy rozjuszonymi kobietami, a drżący murzyn przelatywał co chwila z rąk jednej do drugiej. Sam jednak, zajęty owym tajemniczym przedmiotem, wydobytym z zanadrza w pierwszym przystępie trwogi, nie przyznawał racji ani jednej, ani drugiej kobiecie. Dygocząc, trzymał on swoje "coś" w ręku i co chwila przyciskał je do ust. wydętych, podczas gdy, na skutek wściekłych okrzyków walczących kobiet, zbiegli się policjanci i aresztowali wszystkich troje.
Po ich odejściu, na ulicy znowu zapanowała cisza. Ze stopni domów rozlegały się tylko głosy rozmawiających mieszkańców, którzy, jako świadkowie zajścia, komentowali je każde po swojemu.

II.

Przed brodatym lejtenantem biura policyjnego z Cassstreet stanęło troje aresztowanych, w oczekiwaniu następstw — obie wzburzo-

ne i ledwie dyszące kobiety, oraz ów okratowany dandy, niespokojnie

przyglądający się to jednej, to drugiej, z wyrazem jednak pewności siebie na czarnej twarzy. Jego pretensjonalny kosijum poniósł dotkliwą krzywdę; murzyn wyglądał na rzezimieszka, pijaka lub na beczynnego fakira z wiosek amerykańskich. Marynarka cała w strzępach, rękawy podarte, tak, że nietylko wygniecione kraty mankietów, ale i zmiętoszona koszula smutnie z nich wyglądały na biuro policji; kamizelka rozpięta, szelki zerwane, a spodnie w malowniczych fałdach opuszczały mu się na buty. W rękę trzymał ciągle jeszcze ów przedmiot podłużny, który teraz, przy świetle lampy, dał się poznać, jako... rewolwer? — nie, bynajmniej, jako zwyczajna sucha łapa królicza! Urzędnik z uśmiechem spojrział na tę broń osobliwą i pokręcił głową.

— No, no! — zawołał, — o ile znam się na broni, to bodaj czy który z dwuręcznych posiłkował się kiedy takim rewolwerem.

Murzyn z wyrazem pełnym poszanowania spojrział na łapę króliczą i obruszył się.

— To wcale nie rewolwer, sir! — odparł

zgorzony, — to "Charm, " talizman, amulet... Ale sza! nie można o tem głośno mówić!...

— No, to chodź pan bliżej, o ile pan nie masz bzika.

Murzyn nieśmiało przystąpił do biurka.

— Więc?

— It's the foot of a rabbit — szepnął — shot on a graveyard in de dead ob de moon!

— Co? Łapa królika...

— Yes, sir! Zabitego na cmentarzu przy nowiu księżyca!

— Well, a ta łapa?

— Jest właśnie takim talizmanem. Kto ją posiada, ten jest wolnym od wszelkich wypadków. Ona to właśnie wyprowadzi mnie z tych sideł, w które teraz wpadłem.

— Warjat z pana — roześmiał się urzędnik, — pańska łapa królicza nie jest więcej warta od ogryzionej golonki.

— Co! Pan nie wierzy w skuteczność i moc łapy króliczej? — jęknął murzyn i cofnął się nieco. — Pan wyśmiewa mój talizman? Get away, sir, padam do nóżek pańskich, gdyż z osobą, która nie wierzy w łapę króliczą, nie chcę mieć nic do czynienia.

Urzędnik potrząsnął głową, otarł łzy śmiechu i przybrał znowu surową minę.

— Cicho! — zawołał gniewnie. — A wy, kobiety, zbliżcie się do mnie! No, sierżancie, co to tam było takiego? Bójka? Co?

— Not exactly, lejtenancie — odparł zagadnięty, — nietylko bójka, było tam coś poważniejszego. Obie kobiety pokłóciły się o tego młodzieńca. Obie twierdzą, że

to ich mąż ślubny...

Dłużej sierżant nie mógł składać raportu, gdyż obie murzynki, jedna przez drugą przypadły do oficera z wielkim krzykiem, tak, że musiał użyć całej swojej energii, ażeby je uspokoić. Co gdy nastąpiło wreszcie, ujął pióro do ręki i jak mógł najsurowiej ogarnął wzrokiem sławetną trójcę.

— No, proszę bliżej, pani; — tam, a ta pani wyższa — tam, dobrze, tak. A teraz

krótko, jasno odpowiadać na pytanie, albo... Well, nazwisko pani?

— Jawgiana, sir.

— Ge-or-gi-a-na! dobrze, a ten zacny dżentlemen ma być pani mężem?

— Tak, tak, panie pułkowniku! Jest to Mojżesz Waszyngton Sleepwell, sir, przed dwo-

ma laty poślubił mnie on w Charleston przed prawdziwym pastorem. Tak, to mój mąż! To święta prawda, jak to, że mam głowę, a nie arbuza na karku.

— Porzucił panią i ulotnił się dnia pewnego. Czy tak?

— By Gosh, zgadłeś pan, czcigodny generale, powiedział pan tak, jakbyś to mówił z własnego doświadczenia.

— Hmm! — mruknął urzędnik, rzucił znaczące spojrzenie na podwładnych i znowu zaczął mówić do stojącej przed sobą murzynki: — Pani twierdzisz tedy, że to jest

mąż pani. Dobrze. Proszę o dowód: metrykę ślubną, akt
złączenia lub coś
podobnego.

— Akt złączenia? — zaśmiała się kobieta, — pan chyba nie
znasz Mojżesza, to
najprzebieglejszy murzyn ze wszystkich czarnych na świecie.,
Akt złączenia
zabrał mi ze sobą ten łajdak, zanim mnie opuścił, ale on mi się
nie wymknie, o
nie, sir, bo proszę mu się przypatrzeć — jego prawe oko jest
szklane i po tem
go poznałam. Proszę mu się przypatrzeć, sir, pro-o-szę!
Przy tych słowach murzynka, pełna wzburzenie, odeszła na
stronę. Teraz jej
przeciwniczka

zerwała się z wściekłością, silnemi rękoma odwróciła ku sobie
przedmiot sporu,
spojrzała mu w twarz i wybuchła wielkim śmiechem tryumfu.
— Ona kłamie, generale, kłamie, jak babka djabła! Ten
szykowny młodzieniec ma
lewe oko szklarnie i jest moim mężem! Czyż nie widziałam po
tysiąc razy, jak
wyjmował swoje lewe oko na stół, gdyśmy jeszcze, jako mąż i
żona, połączeni
przez prawdziwego pastora, mieszkali razem w Sawannie?!
Przyjrzyj mu się,
generale, przyjrzyj mu się dobrze, jego lewe oko jest szklane,
nie prawe, jak
twierdzi ta sekutnica, i choćby dlatego samego, choć ja go i po
czem innym

poznaję, to mój mąż, nie jej! Mój... hu, hu, hu, hu! — mój!... u hu, hu!

opuszczona... hu, hu... od roku opuszczona... u hu, hu, hu, hu!...

Urządник wstał, nacisnął guzik elektryczny, umocowany w ścianie, i zwrócił się do pierwszej z kobiet:

— Well, Georgiana — rzekł ze śmiechem — cóż pani na to?
— Prawe ma szklanne, prawe! — zawołała. — oglądałam je po tysiąc razy!

— A pani dowodzi, że lewe? — zwrócił się do drugiej.

— Tak, i dowiodą tego!... i niezawodnie przekonam pana generała!

— A jak się pani nazywa?

— Liza, sir, mam na imię, a nazwisko Sleepwell, które mi dał właśnie ten człowiek, ten mój mąż.

Szczęśliwy murzyn, o którego dobijały się obie kobiety, wcale nie brzydkie i w

pełni sił młodości będące, nie wzruszał się bynajmniej tą ich walką wzajemną.

Spokojnie przyglądał się swojej króliczej łapce, którą dla pewności utkwiał w

kieszeni, tak, że ledwie same pazurki -widać było nazewnątrz.

Wtem, na widownię

wystąpił nowy gość i bez żadnych wstępów zbliżył się do negra.

— Czy to ten? I co mu brakuje? jakie ma uszkodzenia? — zapytał, zwracając się do urzędnika.

— Brak mu obydwóch oczu, doktorze — roześmiał się zagadnięty, — bo jedna z tych pań utrzymuje, że ten pan ma lewe oko szklane, druga zaś równie gorąco obstaje przy tem, że prawe.

— Well — rzecze przybyły — spojrzij no pan na mnie! Jestem lekarzem policji.

No, więc?

Murzyn z wielką nieśmiałością spojrział na doktora, który raz tylko zmierzył go badawczym wzrokiem i odwrócił się ze śmiechem.

— Ależ te kobiety mają źle w głowie, lejtenancie. Prawda, że oczy tego jegomości są nieco za wypukłe, ale są równie zdrowe, jak u kreta. Niema w nich szkła ani odrobiny.

Oświadczenie to zgnębiło do reszty obie niewiasty. Spojrzały po sobie ze zdziwieniem.

— A jednak to on. Szklarnie oko zanadto dobrze naśladuje naturalne! — zauważyła jedna.

— Lekarz jest głupcem lub łotrem — mruknęła druga, — nie może odróżnić szklanych oczu od prawdziwych!...

Lejtenant przybrał znowu całą powagę wykonawcy władzy i dał znak czujnym urzędnikom.

— Odprowadzić tych ludzi do aresztu po • licyjnego i zamknąć każde w osobnej

celi — rzekł, odchodząc. — Jutro przed obiadem zostaną
wszyscy troje odesłani do
Charleston. Tam podobno pierwsza z oskarżycielek,
Georgiana, miała tego
człowieka zaślubić, sąd przeto tamtejszy będzie decydował w
tej sprawie. Potem
mogą sobie prawować się dalej w Savannie, na które to miasto
wskazała druga z
oskarżycielek. Jazda, marsz!
W towarzystwie trzech policjantów czarna trójca opuściła
biuro. Mojżesz z
wyrazem pe-

wności siebie i z ręką na swoim talizmanie, obie kobiety z
uległością pokory. Z
zapamiętałych przeciwniczek, za wolą możnego losu (a raczej
wskutek łotrowstwa
posiadacza króliczej łapki), murzynki zamieniły się na
sympatyzujące ze sobą
wzajem męczennice.

III.

W dwunastym cyrkule miasta Charleston, wyłącznie
zamieszkałego przez czarnych,
panował dziś spokój wyjątkowy. Cała ludność, jak mąż jeden,
zbiegła się do
gmachu, w którym arcyciekawym wyrokiem miał ich
zadziwić sędzia pokoju, Tytus

Jefferson. Z Atlanty policja przysłała troje kolorowych ludzi — mężczyznę i dwie kobiety, obie dowodzące, że są jego żonami, a wielce szanownemu Tytusowi Jefferson przypadło w udziale rozwiązanie tej zagadki. Jeżeli oskarżony w istocie zaślubił obie kobiety, groził mu tedy zarzut bigamji z całą surowością prawa, jeżeli jednak zdoła oczyścić się z tego zarzutu, jeżeli kobiety nie przedstawią dostatecznych dowodów, to wypadnie go uwolnić, sąd zaś zmuszony będzie zwrócić mu koszta podróży na powrót do Atlanty. Żaden z mieszkańców -go cyrkułu miasta nie wątpił, że

sędzia pokoju Tytus Jefferson rozstrzygnie tę sprawę, która do najwyższego stopnia zaciekawiała wszystkie czarne głowy, w sposób mądry i zdumiewający. I słusznie, jego wielmożność bowiem był jednym z najpierwszych kolorowych, któremu się udało, za pomocą różnych podstępów politycznych i przy udziale partji, mimowoli sprzyjającej negrom, otrzymać fotel sędziowski i pełnić obowiązki ku wysokiemu zadowoleniu swoich czarnych współmieszkańców. Nawet wszyscy biali przyznawali zgodnie, że M-r Jefferson, pomimo rażącej nieznajomości kodeksu,

zawsze ferował wyroki bardzo mądre, oczywiście przy
sądzeniu biednych, bogaci
bowiem umieli nań wywierać wpływ magnetyczny, któremu
ulegał bezwiednie, sam
będąc członkiem tej zaprędko ucywilizowanej zgrai
afrykańskich braci, z ich całą
chmarą wad, złych skłonności i defektów natury moralnej.
Dziś sędzia nie mógł się znajdować pod niczym wpływem;
mężczyzna, siedzący tam,
pośrodku sali, wyobrażał uosobiony upadek; może niegdyś był
to bardzo szlachetny
dżentlemen, ale teraz w tych łachmanach przedstawiał obraz
zdecydowanej nędzy.
Nie lepiej wyglądały obie niewiasty, bez kapeluszy, w wy-

tartych kaftanach i powykrzywianych trzewikach siedzące
obok wynędzniałego
dandysa. Wszyscy troje uderzali jednak zdrowiem i pełnią sił
młodzieńczych i ta
okoliczność łagodziła cokolwiek przykre wrażenie, wywołane
ich strojem.
Sąd, jak się zdaje, miał się ku końcowi — znać to było po
zadowolonych twarzach
dziesięciu czy dwunastu reporterów, siedzących przy stole
nawprost sędziego,
oraz po niepokoju słuchaczy, którzy, w liczbie stu z górą,
wypełnili salę,
korytarz, a nawet część schodów.
Sędzia pokoju, Mr. Tytus Jefferson, człowiek blisko
sześćdziesięcioletni, o

zupełnie siwych włosach przy mocno czarnej twarzy, wstał i spojrzał gniewnie ku lewej stronie sali, gdzie pod ścianą przy stosie aktów zasiadał mały człowieczek kolorowy.

— Gdyby mi nie szło o tego jegomościa, o tego procesowicza — ozwała się jego wielmożność, — który nieproszony podjął się sprawy obu tych pań, Georgiany i Lizy, to moglibyśmy posiedzenie sądu zawiesić, że jednak... hm.. — tu sędzia zatrzymał się na chwilę, pochylił się nad stołem, splunął z całej siły w blaszaną spluwaczkę, stojącą pośrodku sali, wprawnie

i bez chybienia, poczem równie szyderczym tonem prawił dalej: — ale cóż, kiedy ten oto całkiem zbyteczny i śmieszny okaz adwokata...

— I object, your Honor! — zawołał człeczek, siedzący pod ścianą, uderzając w stół pięścią. — Protestuję, wasza wielmożności! Ale sędzia zrobił giest, nakazujący milczenie i ciągnął dalej poprzednim głosem:

— Sit down, sir, siedź spokojnie człeku, radzę, pókim dobry, bo na świętego Habakuka, skażę cię za obrazę sądu... Ah, hm, ę... otóż ten człowiek wynalazł obydwóch pastorów, którzy obie niewiasty mieli jakoby połączyć węzłem małżeńskim z oskarżonym Mojżeszem Waszyngtonem Sleepwell. Pierwszą miał on zaślubić tu, w

Charleston, przed dwoma laty, drugą, Mrs. Lizę, przed rokiem w Sawannie.

Jakkolwiek rezultat tej sprawy przewiduję z góry, bo mnie tak łatwo oczu

zamydlić nie można, ja widzę przez sześciocalową deskę, ja odróżnię kurę

ukradzoną od kupionej, jak melon od bananu — to jednak pozwolę sobie

przesłuchać tych obu zacnych dżentlemenów.

Po tych słowach nastąpiły okrzyki potakiwania, świsty i inne objawy radości ze

strony słuchaczy, pochlebne tupania nogami z ławy

reporterów i ironiczne chrząkanie małego adwokata, który poza stosem aktów

spożywał olbrzymi róg chleba świętojańskiego. Jego wielmożność jaknajspokojniej

przetrzymał te głośne wybuchy, rozsiadł się w fotelu i zawołał:

— Proszę tedy, raczcie się zbliżyć, ojcie Barkley, wielbny pastorze parafji

kolorowych Metodystów z Charlestonu!

Na to wezwanie, krokiem pełnym namaszczenia przystąpił murzyn, który wyglądał

raczej na krzywokija, na gałganiarza, aniżeli na księdza.

— Błogosławieństwo tobie, bracie sędzio — rzekł, — patrz, zawezwałeś mnie i

otóż jestem, życzyłeś mnie sobie ujrzeć i wysłuchałem cię, zaprawdę bowiem

powiadam wam, że zatwardziałość...

— Thats all right! — przerwał mówcy jego wielmożność. —
Znacie, ojczy, tego
człowieka?

— Znam go. Nazywa się on Mojżesz Waszyngton Sleepwell.
Przed dwoma laty
połączyłem go związkiem małżeńskim z tą oto niewiastą,
która dawniej zwała się
Miss Georgiana Wood.
Sędzia z niechęcią podrapał się w głowę.
— Musicie się mylić, ojczy — burknął, —

jestem przekonany, że to inny człowiek, podobny tylko do
waszego Mojżesza. Ten
nazywa się, według jego osobistego zeznania, Jozua Jackson
Standup. Powiedzcież
mi, czy wasz Mojżesz miał szklarnie oko?

— Miał, wasza wielmożność — odparł duchowny, — jego
prawe oko jest szklanne.

Przy mnie wyjmował je z oprawy i pokazywał mi je.

— Opowiedzcież, jak on to robił.

— I owszem. Wprawdzie nie widziałem zupełnie dokładnie,
jak on je wyjmował i
wkładał, gdyż obie te czynności odbywały się bardzo szybko.
Zamykał prawe oko na
jedną sekundę ręką, a gdy ją odjął, już miał w niej oko
szklanne, podczas gdy
powiekę miał opuszczoną dopóty, dopóki nie wprowadził oka
napowrót.

— Dobrze — odparł sędzia, — powiedzieliście prawdę,
idźcie, ojczy, na miejsce.

A teraz, zbliżcie się wy, wielebny Sweetpot, z parafji
Kongregationalistów w
Sawannie.

Drugi duchowny zbliżył się, powtórzył słowo w słowo
opowieść swego poprzednika,
z tą różnicą, że jego zeznanie dotyczyło drugiej, murzynki,
dawniej Miss Lizy
Lincoln, którą przed rokiem połączył z oskarżonym w Sa-

wannie; ten ostatni, zdaniem pastora, prawe oko miał zdrowe,
lewe jednak
szkliste.

Gdy "Sir wielebny" skończył zeznanie i odszedł na miejsce,
nastąpiła wielka
cisza. Wszyscy z zaciekawieniem oczekiwali głosu sędziego.
Ten powstał, plunął z
góry (ale tym razem chybił, tak, że część plwocin spadła na
głowę jednego z
reporterów) i uderzył młotkiem trzy razy w stół.

— Oskarżony, zbliż się pan do stołu, tu, prosto, tak, ażeby
ci się mógł w

twarz patrzeć... Well, Mrs. Georgiana, pani i świadek pani
utrzymujecie, że

prawe oko tego człowieka jest szkliste?

— Tak jest, wasza wielmożności!

— Macie rację, istotnie jest to oko szkliste i djabelnie
dobrze wykonane!...

Dalej. Pani Liza utrzymuje, że lewe oko tego człowieka jest
szkliste, czy tak?

Wszak przyznał to i świadek pani?

— Niech o tem postanowi siwa głowa waszej wielmożności
— odparła Liza.

— A no postanowi — prawil dalej sędzia, — pani masz także
rację, jego lewe oko
jest rzeczywiście ze szkła i dzielnie wykonane, ani słowa...
musiał je widocznie
ten sam fabrykant

robić... Hm, hm! Oskarżony, proszę się trochę w tył cofnąć...
jeszcze dalej,
tak! A teraz, proszę mi powiedzieć: czy pan możesz swemi
szklannemi oczyma, tak
świetnie wykonanemi, przeczytać to pismo, które tu leży na
moim stole?

— Mogę, wasza wielmożności: Es - - ä - - ti - - ju - - arr - - di -
- ä - - uei

= Saturday - - ti - - ecz i = the — — —

— Dobrze, dobrze, dosyć! — przerwał sędzia
szklannookiemu i pełen zdumienia

pokręcił białą głową. — Zdziwiająca, wspaniała, to pobiją
figury woskowe, teatr

mechaniczny, aparaty telegraficzne i wszelkie inne wynalazki
na łeb, na szyję!

Widzące oczy szklarnie! Co? Edison kiep! Co? By Jingo, pan
może lepiej widzisz

swemi sztucznemi oczyma odemnie, muszę i ja także sprawić
sobie szklarnie oczy,

choć mam wcale zdrowe własne. Godne zastanowienia!

Widzące oczy ze szkła!...

hm, hm, hm!... Czytać oczyma szklannemi, widzieć tak, jak
przez prawdziwe, hm,

hm, hm!.. do czego to my jeszcze dojdziemy na świecie!
I przejęty tą myślą, sędzia usiadł, objął białą, wełnistą głowę
w obie ręce, a
powaga,

z jaką to wszystko robił, wywarła wielki wpływ na obecnych.
Reporterzy, którzy
dotąd nic a nic nie słyszeli o sztucznych przyrządach ocznych,
wypuścili pióra z
drżących rąk i z otwartymi listami spojierali na sufit, obie
kobiety przymknęły
oczy i napróżno usiłowały nadać pozory prawdy temu, co było
wypowiedziane.
Głęboka cisza zaległa w szeregach słuchaczy. Czarne twarze
jęły się sobie
przypatrywać, jak we śnie. Tylko szklannooki Mojżesz
uśmiechał się i coraz to
spoglądał na coś czarnego, co wyglądało mu z kieszeni, a co
nie było niczem
innym, jak końcem łapki króliczej. Trwało to niespełna
minutę, nagle jednak
zrobił się taki gwałt i hałas, że szyby drgnęły, jak gdyby i one
chciały wziąć
udział we wrażeniu, wywołanem przez słowa sędziego. Tłum
nie napróżno się
burzył, wiedział on bowiem, że sędzia Tytus lubił pasjami
zamieniać salę sądu na
scenę farsy.
Nakoniec, umysły uspokoiły się nieco, sędzia powstał,
energicznie uderzył w stół
i wyraził uznania zamilkły.

— A teraz nastąpi rozwiązanie — oświadczył energicznym głosem. — Sprawa jest jasną,

jak słońce. Ten człowiek jest niewinny... wyrok uwalnia go od wszelkiej odpowiedzialności!

W tej chwili usłyszano krzyk. Mały kolorowy adwokat, zdjęty wściekłością, zemdlął poza stosem swoich aktów. Podczas gdy go wynoszono, sędzia, nie zwracając uwagi na ten epizod, ferował donośnym głosem, co następuje:

— Uwalniam go, bo jest niewinnym. Nikt z zamieszanych do sprawy nic nie jest winien. Szklane oczy tego człowieka wyrządziły figla i jemu i innym osobom.

Pani Georgiana wskazała na jego oko prawe, twierdząc, że on to jest jej zbiegłym mężem, który może być tylko podobnym do niego. W tem samem położeniu znalazła się i pani Liza, wskazując na jego lewe oko. Ponieważ mąż jednej z pań miał prawe oko szklane, a drugiej lewe, ten zaś posiada oba oczy szklane, tak dobrze prawe, jak i lewe — co ja, sędzia, sam osobiście stwierdziłem, jakkolwiek przy doskonałości ich wykończenia, trudno je uznać za wytwór sztuki — przeto dżentlemen ten nie może być człowiekiem, którego te panie poszukują. Postanawiam

tedy, ażeby oskarżonego wypuścić w tej chwili na wolność i
wypłacić mu koszta
podróży powrotnej do Atlanty, o ile sobie tego

życzyć będzie. Obie panie mają bilety powrotne i mogą
odjechać lub pozostać, jak
im się spodoba. Oto wszystko! — Baczość! Posiedzenie
zamknięte. Woźni, oczyścić
salę!

Już przy ostatnich słowach sędziego, słuchacze, nie czyniąc
żadnych uwag, jeśli
wychodzić. Nie słyhać było ani "Cheerów, " nikt nie gwizdał
z uznaniem dla

wyroku, nikt nie tupał nogami z radości — zdumienie
dzisiejsze było za wielkie.

Nawet obie kobiety wraz z pastorami w milczeniu opuściły
salę. Podczas jednak,
gdy w ich głowach panowała ciemność zupełna i ani jeden
promień księżyca nie
oświecał tych mroków, w umysłach podejrzliwych zrodziła się
myśl, że ten obdarty
dżentlemen, Mr. Mojżesz Waszyngton Sleepwell, ten
szklannooki, musiał mieć coś
jednak bardzo kosztownego w swoich łachmanach, co musiało
rzetelnie podziałać na
jego wielmożność, w sposób korzystny dla oskarżonego.
Przypuszczenie to w istocie było blizkiem prawdy... Gdy sala
opróżniła się
nieco, sędzia uchylił drzwi od szafy pod pozorem schowania
książek i z poza nich
dał znak szklannookiemu, ażeby się doń przybliżył.

— I cóż, jesteś pan wolny — szepnął do

niego, — wyjmijże pan to, coś mi przyrzekł, a prędko, żeby nikt nie zobaczył.

— Rzeczywiście wymagasz pan tego odemnie? — jęknął Mojżesz zcicha. — Zostaw mi to, sędzio, zostaw!

Jego wielmożność podniósł groźnie pięść do góry.

— Czyś pan oszalał? Dla pana odegrałem tę komedję, a pan nie chcesz mi dotrzymać słowa!? Każę pana niezwłocznie aresztować, wyznaczę nowy termin i skarżę!...

— Tss... Cicho! Dam panu, owszem, jeżeli już inaczej być nie może! No, masz pan

— proszę!

Co mówiąc, szklannooki wy dobył swoją łapkę króliczą i doręczył ją sędziemu,

który chciwie wsunął ją do kieszeni.

— Prawdziwa? Shot on a graveyard...

— In de dead ob de moon! — dokończył murzyn.

— Napewno?

— Napewno!

— No, to bądź pan zdrow!

— Szacunek!

Tuląc w kieszeni talizman, zdobyty kosztem sprawiedliwości, sędzia wybiegł z

tryum-

fem, podczas gdy i Mojżesz Waszyngton Sleepwell, z
szerokim śmiechem na ustach,
również
.salę opuścił.

Deszcz lał, jak z cebra. Istne potoki wód płynęły po ulicach.
Mojżesz Waszyngton
Sleepwell wszedł w jakąś bramę i ukrył się pod jej
półciemnym sklepieniem, tuląc
się do ściany. W niespełna minutę później pod tą samą osłoną
znalazły się jego
obie eks-żony w towarzystwie świadczących na ich korzyść
pastorów. Każda z par
tuliła się do ściany z osobna.

— Nie płacz pani po tym łotrze, droga Mrs. Georgiano, —
rzekł cichym głosem
wielebny z Charlestonu, — ja, ja sam powetuję tę stratę. W
mojej skromnej
plebanji brak obecnie gospodyni... Hm, czy pani chcesz zająć
to miejsce?

I w czasie jej odpowiedzi, z pod drugiej ściany dał się słyszeć
cichy głos

wielebnego z Sawanny:

— To dobrze — pocieszał towarzyszkę, — to nawet Panu
Bogu podobać się będzie,
że pani wejdiesz pod dach mój i jako wierna służka moja,
domem moim zarządzać
będziesz. Ale o tamtym łotrze zapomnij pani!

Łotr jednak w swojej niszy potrząsł tylko głową ze śmiechem,
odpiął spencerek i
wyciągnął łapę króliczą, którą obejrzał wdzięcznym
wzrokiem.

— Tobie mam wszystko do zawdzięczenia — rzekł zcicha, —
ty jedna uwolniłaś mnie
z sideł, które już o mały włos że mnie nie pochwyciły na
zawsze.

I chowając ją starannie, dodał:

— Ale, jak prawdą jest to, że umiem odczytać swoje własne
imię, muszę
natychmiast u jakiego handlarza królików wyprosić sobie
świeżo odciętą łapkę,
dla zastąpienia tej rezerwowej, ale nie prawdziwej, którą
dałem za wyrok
sędziemu. Ho, ho, wasza wielmożności! — prawdziwa "Shod
in de dead ob de moon"
jest jeszcze w mojem posiadaniu, i niech mnie djabeł zje na
kolację ze skórą i
włosami, jeżeli tem samem okiem szklannem, które ukradłem
przed dwoma laty, nie
trafię na nową przygodę!

KONIEC.